



11-1272

11-1273

11-1274

11-1275

11-1276

NIEZABUDKA.

WYKAZ

WYKAZ

WYKAZ

NIEZABUDKA,

Pismo zbiorowe.

(Czysty dochód na korzyść kształcącej się
na wychodźstwie młodzieży).

BENDLIKON.

W drukarni „Ojczyzny“ Radzkiego.

1865.



11532584

N. 211



~~P. I 664~~

KILKA UWAG

nad skutkami ostatniego powstania.

Niewątpliwą jest rzeczą, że ostatnie powstanie narodu polskiego przeciw Moskwie jest faktem wielkiej doniosłości nie tylko w dziejach dwóch naprzeciw sobie walczących narodów, ale nawet w dziejach ludzkości całej. Fakta takie jak ostatnie powstanie stanowią epokę w rozwoju politycznym i społecznym narodów, i obfitują w skutki, które często dopiero późniejszej potomności są jasne, zaś potomność dopiero dostatecznie ocenia ich znaczenie.

Dziś gdy namiętności polityczne zaciemniają spokojny i bezstronny pogląd na czyny co dopiero dokonane przed naszymi oczyma, często z współudziałem naszym, trudno sobie zdać sprawę z tego ile nam szkody, a ile korzyści przyniosło, nie godzi się jednakże z lekkomyślną zarozumiałością rzucać anatema lub śpiewać wygórowane hymny pochwalne bez zastanowienia się choć pobieżnego nad dziejową doniosłością tego faktu. Ze są skutki, o tem nikt nie

wątpi, ale większość ogląda z trwogą swoje rany lub blizny, a nie czując chwilowej ulgi, owszem srożenie się tym większe wroga, nuż rozwodzić niewczesne żale, nuż narzekać na nieszczęścia krajowe, nuż jedni na drugich zwałać winę, której zaiste nie w pojedynczych ludziach szukać należy. Jedni szukają w nas jakiejs wyższości, od której jesteśmy dalecy, inni bezmyślnie widzą tylko same złe strony naszego społeczeństwa, zamiast po prostu brać nas tak, jak nas Pan Bóg stworzył i jak się przez nasze dzieje postawiliśmy. Ze nie spoczęliśmy na łożu z róż usłanem, to jasne, że krew płynęła strumieniami, to wiemy, że błędy popełniano nikomu nie tajne, ale narzekaniem nie poprawimy naszego położenia, krew wylana łzami się nie zastąpi, a błędy popełnione nie odpelnia się oczernianiem, ale poprawą i rozumnem sprawą naszejj pojęciem.

Nie jeden z tych mądrych polityków, którzy zawsze i wszędzie negować gotowi, powie, że jego rozum przewidział wypadki, że jak na dłoni widział naszą przyszłość, że głos jego rozsądny był głosem wołającego na puszczy, i t. p. brednie, któremi zawsze zastawiają się ludzie, pragnący w głębokim spokoju spożyć resztki ojcowizny, a nawet dla miłego chleba wyrzec się narodowości, barwy eczy i wszystkiego, co święte na ziemi, albo też ludzie, którzy nie chcą nigdy sobie wyperswadować, że się mylić mogą w swych sądach, i dla tego choć po czasie, twierdzą, że wszystko przewidzieli. Kto czytał dzieje przeszłego wieku i dzieje tegowiecznych wysiłków narodu polskiego, ten znajdzie tych wielkich polityków na każdej karcie dziejów naszych, gotowych zawsze oglądać zgon własnejj ojczyzny i pić pospołu z wrogiem

na pogrzebowej jej stypie. Gdy wre burza, gdy gromy biją, ostrożnie chowają się w norach, gdy cisza nastąpi przylatują razem z krukami na pobojowiska trupami braci zasłane i gawronim sposobem kraczą nieszczęście, a wtórnie in cały zastęp bezmyślny, kierujący się chwilowem natchnieniem. Ztąd wynika, że zamiast po nieszczęściu, które kraj dotyka, obmyślić sposoby zablížnienia ran, skorzystać z rezultatów, które każdy przewrót polityczny sprowadza, kraj przez tych reakcjonistów rozlamentowany, traci lata całe na pobożnem rozmyślaniu swych strat i na bezbożnem rzucaniu klątwy na burzycieli spokoju grobowego. I tak pokolenie całe, którego pewna część za granice kraju wynieść się jest zmuszona, bezwładnie i czeka póki nowe pokolenie nie rozpocznie tej samej tytańskiej pracy, aby w te same wpadać błędy i tak samo je oplakiwać. W tem zaklętem kole snuje się wątek dziejów Polskich od Konfederacji Barskiej do dni dzisiejszych. Każde pokolenie robi nowy wysiłek mniej lub więcej potężny i obumiera za życia dla kraju, zamiast z doświadczenia własnego korzystać i stanąć z światłą, doświadczeniem ale nie strachem napędzoną radą, obok nowych szermierzy.

Ostatnie znów powstanie w tak niezwykłych rozpoczęte warunkach, w tak niezwykły prowadzone sposób. po swym upadku niezwykłą także sprowadziło dozę nowych zdań i pojęć do owęj arki Noego, którą opinią publiczną Polski nazywamy.

Prawda, że poczciwa i zacna większość narodu bolejąc nad poniesionemi stratami uznała choćby w skrytości serca tylko, że powstanie było koniecznością, było wynikiem woli narodu, ale i ta nawet

część zagna narodu kiwa głową na wielkie nieszczęścia, które nas dotknęły, nie przypuszczając: że powstanie nasze było krokiem postępu, krokiem naprzód do naszego zbawienia.

Ze dziś, że w tej chwili tego zhawienia nie widać, że owszem wcale niepocieszne objawy coś przeciwnego wróżyć się zdawają to nie dowód, bo po każdym wytężeniu sił następuje bezwładność, czynniki reakcyjne występują na scenę, a luddek, poczciwy luddek często im bez zléj myśli wtoruje, póki znowu z drugiej strony nie przeberze się miara szaleństwa, nie dopełni kielich goryczy, nie nastąpi zbezwładnienie reakcji, a tem samem powołanie do życia żywiołów postępowych.

Tak się dzieje wszędzie i zawsze, tak się dzieje u nas w tej chwili, ale już to przechodzenie z ekstremu w ekstrem stało się nam drugą naturą, i dla tego chłórem płaczemy nad upadkiem kraju, chwilowa niedola zamienia nas w słupy solne, które lada deszcz roztopi, zamiast nas opancerzyć żelazną wytrwałością, zamiast zmusić nareszcie do mniej doraźnego sądu o wszystkich stosunkach, a nawet o ludziach naszych. A jednak nie tak bardzo trudną jest rzeczą wysłedzić obok doraźnych szkód znakomite korzyści, dziś jeszcze niewyraźne, ale brzemiennie błogiem skutkami, które mogą lepszą zgotować nam przyszłość.

O tych skutkach właśnie kilka uwag pobieżnych napisać postanowiłem, w tej myśli, że może te uwagi wywołają jakąś gruntowniejszą pracę oświecającą nasze terażniejsze położenie.

Potrzeba nam takiej pracy koniecznie, potrzeba ścisłego obliczenia sił i skoncentrowania takowych w jednym kierunku, bo rozstrzelone dążenia niczego

nie stworzą, a tym bardziej niczego nie stworzy dzisiejszy lament. Nie mówię tu o skoncentrowaniu się sposobem owiec w jedną trzodę laską pastucha i szczekaniem psa utrzymywaną w porządku, ale skoncentrowanie się w celu, poszanowanie wzajemne choćby wprost sobie przeciwnych idei, byle te idee dobru ogólnemu nie stały na przeszkodzie, byle dążyły do podniesienia ojczyzny. Spokojna, nie namiętna walka tych idei może właśnie wywołać prawdę i pokazać nam właściwą drogę postępu. Nie żyjemy przecież w czasach saskich sejmików, gdzie przeciwne zdania kordem się rozstrzygały, a niewczesne żarty, złe dowcipy, które tylko wprawy języka dowodzą, a wywołują rozjątrzenie zobopólne jakkolwiek dotąd u nas bardzo pokupne, powinny wreszcie ustąpić zdrowym, niezarozumiałym rozprawom.

Powstanie ostatnie było koniecznością dziejową, bo uciśniony naród, jeżeli tylko tleje w nim jeszcze iskierka tłumionego życia, przyszedłszy do jakich takich sił zawsze będzie się starał pozbyć swych gnębieli, tym bardziej jeżeli ci zagrodzą mu wszelkie drogi do rozwoju pokojowego, jeżeli wróg jak rząd moskiewski targnie się na wszystko co narodowi święte, i każe mu się spodlić lub krwią zmyć hańbę. Ze koniecznością było powstanie przyznają nawet rozsądni ludzie z samego obozu moskiewskiego, bo nikt pewnie Schedo-Ferrotego nie nazwie naszym przyjacielem, a przecież ten autor zkadinał nam nieprzyjazny zgadza się z nami w tym punkcie, że powstania uniknąć nie było podobna. Znaczną część wprawdzie przyczyn wyprowadza Schedo-Ferroti z samego charakteru naszego narodu, zapomina jednakże głównej przyczyny, że naród niespodlony nie zawiera

nigdy wiecznego przymierza z swym ciemżycielem, ale raczej czasowe rozejmy, które trwają tylko tak długo dopóki nasza sposobność do powstania, do wojny się nie nastęczy. — Widzieliśmy to tylokrotnie w dziejach naszych porozbiorowych, widzieliśmy w dziejach innych narodów, a jednak woliny szukać dalekich przyczyn lub błahych pobudek, zamiast oddać po prostu hold żywotności narodu, który po tylu latach niewoli, nie oswoił się z obrozą, ale co chwila stara się ją zrzucić i stanąć na dawnym stanowisku niepodległości.

Zgadzą się na to i „Moskiewskie Wiadomości“ i „Dziennik Warszawski,“ bo oba te dzienniki nie sądzą się bezpieczne bez zupełnej zagłady Polski, zgadza się na to cała Europa, my jednakże nie chcemy czy nie umiemy tego pojąć. — Że były pobudki bezpośrednie (znane zresztą każdemu) do powstania nie przeczę, przyczyna jednakże leży i leżeć zawsze będzie w niewłaściwym stanowisku, w jakim nasz naród postawili usłudni sąsiedzi. Nie będę się więc dalej rozwodził w tym przedmiocie, sądząc, że każdemu bezstronnemu wystarczy tych słów kilka do sprowadzenia jego opinji na właściwszą drogę,

Inaczéj rzecz się ma ze skutkami powstania, tu rzeczywiście potrzeba gruntowniejszego zastanowienia się, bo skutki te z natury rzeczy do przyszłości należą, o tyle zatem tylko można o nich sądzić, o ile one z dzisiejszego naszego położenia sposobem zwyczajnych matematycznych wniosków wyprowadzić się dadzą. Że nie jeden z tych wniosków może się okazać fałszywym w przyszłości, nie przeczę, bo wierzę, że dziejami ludzkości nie ślepy traf, ale opatrność rządzi, że zaś dróg opatrności okiem ludzkim nie

zawsze dostrzedz można jest rzeczą jasną, bo człowiek żyjąc w czasie i przestrzeni sięga tylko swym rozumem tak daleko o ile czas i przestrzeń mu dozwalają.

Bez puszczenia się jednak na płonne pole domysłów, można nie jedną zagadkę przyszłości choć w przybliżeniu odcyfrować podług danych wziętych z dawniejszych dziejów i z prawideł na nich opartych.

Skutki ostatniego powstania są dwojakie: moralne i materialne.

Zaczynając od pierwszych, przyznać trzeba, że dzisiejszy stan kraju niedobrzeby wróżył o skutkach moralnych powstania, bo jak to wyżej wzmiankowałem, upadek ducha jest ogólny prawie u wszystkich, którzy mieli czynny udział lub też stali z boku, ale ze współzuciem patrzeli się na powstanie. Ale jestto naturalnym wynikiem fizycznego wysilenia, które trwa tak długo, jak długo właśnie to osłabienie fizyczne sięga, dotyka zaś tylko tych, którzy czynnością fizyczną lub umysłową wzięli udział w powstaniu, w miarę sił każdego z tych czynników. Nie wątpliwą jest rzeczą, że znaczna część tych ludzi, którzy w ostatnich czasach wielki mieli udział w powstaniu na długie czasy lub też na zawsze zostanie złamaną. Inna część, której głównie brak ducha, brak wytrwałości zarzucić można, mając dość siły, a może nawet chęci służenia krajowi, ulegnie jednakże pod wszechwładną dla nich potęgą strachu i przycupnie przy domowych lub pozadomowych ogniskach, trawiając resztki żywota na bezpłodnem, a przynajmniej mało znacznem opowiadaniu swych wielkich czynów.

Jestto ta kategoria, o której mówi Słowacki:

Ze u nas zawsze po dniach nieszczęśliwych,
Zostaje mnóstwo pół-rycerzy żywych.

I ci jednakże o tyle przynajmniej będą korzyśtni, że przez przesadzone opowiadania swych czynów wojennych młode pokolenia do walki zachęcać będą *).

Zostaje się mała cząstka tych, którzy upadek powstania uważają tylko za nową fazę dziejów Polski, którzy będą się starali zgłębić przyczyny jego upadku, poprawić siebie i drugich, i w danym razie rozumniejsi, oczyszczeni i wytrwalsi staną do nowej walki, czy w obozie, czy w czasach rozejmu na polu pokojowych starć, na polu przygotowań do orężnej rozprawy. Przechodząc z kolei do wyraźnych przeciwników ostatniego powstania, ci jak zawsze, przed czy po powstaniu zostali się przeciwnikami narodowej myśli, samolubami lub po prostu zdrajcami, którzy na to tylko noszą imię Polaków, żeby tem właśnie imieniem mogli zdradzać i odbierać tym sutszą zapłatę. Ci ludzie po powstaniu podnieśli przyczajone głowy, a powiększyli swój zastęp nieszczupłą liczbą obojętnych lub odstępców, których „wzrok nie sięga za wioski rodzinnej granice,“ i którzy sądzą, że dzieje ludzkości są grą przy zielonym stoliku i we-

*) Mówiąc tu o tych kategorjach, mówię naturalnie o ludziach, którzy mieli jakąkolwiek opinie; dużo, bardzo dużo u nas jest ludzi, obracających się nawet w wyższych sferach, nie mających jednakże żadnego przecucia, a tem mniej poczucia opinji. Ci ludzie mają to przeznaczenie, co chóry w operach, lub co uczniowie Tow. na jego prelekcjach, t. j. ogromnym głosem wtórzyć głosowi małej liczby głównych aktorów. O tych naturalnie mówić nie można.

dług tego modelują swoje postępowanie. Inaczéj rzecz się ma, a raczéj mieć będzie z młodszém pokoleniem, któremu powstanie przypomniało wybitnie dawną, umarłą Polskę, które patrząc się na bitwy, na powstańców, na ich chorągwie, na ich poświęcenie, a z drugiéj strony widząc dzikość, okrucieństwa i zwierzęcą głupotę moskiewską, nie będzie mimo wszelkich wysiłków moskiewskich, przyjacielem Moskwy, caratu, ale zachowa i spotęguje uczucie Polaka w swem sercu i schowa dobrze przysposobioną zemstę do sposobnéj chwili.

Ta młodzież polska, dziś krwią ojców, braci, matek i siostr zbryzgana, uciemżeniem i poniżeniem kraju do żywego dotknięta, przez fałszywych proroków prowadzona pod ołtarz złotego cielca, sprawi kiedyś swym ofiarnikom ucztę, którą się samo piekło rozraduje.

A cóż lud Polski powie? W nim leży siła, w nim przyszłość nasza, gdy on zechce kajdany nasze pęknąć jak pajęczyna, a pęknąć bezpowrotnie. Lud Polski głównie bałamuci dziś Moskwa, bo wie, że w nim leży niezłomna potęga, ale czemu go bałamuci? — Rząd Narodowy dał przed Moskwą ludowi Polskiemu wolność i własność, cóż Moskwa może dać więcéj?

Owo bezrozumne szafowanie nie swoją własnością, owe dorywcze głaskania i przyklaskiwania, nie już wolności, ale swywoli, a obok tego chwile zapomnienia, albo raczéj przypomnienia z świstem kozackich nahajek, z szubienicą i z dybami rekruta do czegoż doprowadzić mogą i doprowadzą. Do coraz większych żądań, których ani Moskwa, ani car, ani żadna potęga świata zaspokoić nie będzie mogła, do

żądań, którym trzeba będzie odmówić, a zatem ją trzyć, oburzać i surowo poskramiać. Milutyn z konsortami zapomniał, że zasiew wolności jest jak zasiew owych smoczyczych zębów Medei, że rodzi nowe dotąd nieznanne potęgi, przed którymi zadrzą morarze świata. Ale przypuśćmy, że jakimś cudownem zaklęciem, które może w redakcji Dziennika Warszawskiego na obstalunek moskiewski ukują, ta powódź coraz nowych żądań uśmierzoną zostanie, że włościanin polski poprzestanie na tem, co mu łaska carska, spowodowana reskryptem Rządu Narodowego wydzielić raczyła. Cóż dalej będzie? Chłop usamowolniony stanie się obywatelem kraju, zapagnie oświaty, zapagnie obywatelskiej wolności, którą na każdym kroku gwałcić będzie, nie już właściciel dóbr, nie szlachcie, ale czynownik moskiewski, przeciw niemu więc obróci się cała nienawiść włościan. Może włościanin nieźle jeszcze sądzić będzie o sprawiedliwości oddalonego cara, ale jego rząd prędzej czy później stanie mu się nienawistnym. Nie czując zaś odrazy do szlachcica dawnego swego pana, którego stał się sąsiadem, nie raz do niego o radę i pomoc przeciw zdzierstwu moskiewskich czynowników pójsć będzie zmuszony. Jeżeli obok tego dawni panowie zechcą się szczerze zbliżyć do tych nowych współobywateli, da się ten czas przewidzieć, w którym kraj cały jako jeden mąż pałać będzie nienawiścią przeciw wdzierczemu rządowi.

Od właścicieli więc, od ich poprawy, od szczerzego pojednania się z włościaninem, ale pojednania, bez emfazy, szczerzego chrześcijańskiego, zależeć będzie ten skutek. Żadne środki przez Moskwę przedsięwzięte przeszkodzić nam nie mogą, ale trzeba raz

wyrzec się przywidzeń i przesądów niegodnych naszego wieku, trzeba odrzucić powiatowszczyznę i samolubstwo, i choć nie pod kierunkiem jakiejś osoby, pod kierunkiem jednej idei stanąć, a tej idei ani Moskwa nie uwięzi, ani w Sybir nie pośle.

Z resztą z polepszeniem bytu materialnego oświata zacznie powoli być potrzebą, włościanin zapragnie czytać i zacznie myśleć o swojej i o kraju doli, a w tem także nie małe dla rządu moskiewskiego leży niebezpieczeństwo. W końcu ciągle rekrutowanie klas wykształceńszych nie może zostać systemem stałym, choćby już dlatego, że zanadto wiele niebezpiecznych żywiołów wcielonoby do szeregów rosyjskich, trzeba będzie z czasem znowu brać włościan w rekruty, a z tą daniną krwi w żaden sposób włościanin polski się nie pogodzi. Ze rzeczywiście po uwłaszczeniu nienawiść do dworu ustaje, nawet w najgorszych dawniej okolicach; mamy tego dowodny przykład w Galicji, gdzie ludność wiejska mimo krwawych wypadków 1846 roku, mimo ohydneho ciągle systematu rozdwojenia, które wszystkie władze rządowe popierają, powoli zaczyna się wyrabiać i już w czasie ostatniego powstania mieliśmy w Galicji dowody jeżeli nie przychylności to przynajmniej nie nienawiści *). Jeżeli więc potem wszystkim, co się działo i dzieje w Galicji, ludność wiejska odrzuca powoli swą niechęć ku panom, cóż się stanie w królestwie, gdzie do tej nienawiści daleko mniej jest

*) Sam miałem dowody wielkiego nie raz przywiązania do sprawy w włościanach galicyjskich, prawda tylko w kilku okolicach ale w innych nie spostrzegłem niechęci, a tylko w bardzo rzadkich wypadkach i w kilku znanych z złego usposobienia okolicach była nienawiść do powstania.

powodów. Może Moskale doczekają się tej chwili, gdzie włościanin królestwa, równie jak brat jego w Prusach stanie sztorcem rządowi i będzie silną podporą dla ludzi uczciwie o dobru kraju myślących. Tym prawdopodobniejszym jest ostatni wniosek, że Moskwa bez propagowania schizmy obejść się nie może, a włościanin nasz wszędzie jest przywiązany do swego kościoła i biada temu, kto mu tę spuściznę ojców naruszy. Kwestje religijne są najdrażliwszemi kwestjami, zgubiły one Polskę na Rusi, a Moskwę w Polsce zgubić mogą, skoro tylko, jak to dziś widzimy miotać się będzie przeciw religji krajowej.

Jakżeż nas zresztą ostatnie powstanie postawiło w opinji Moskwy? Nienawiść ślepa i nieubłagana wszystkiego co polskie wzrosła dopiero po dzisiejszem powstaniu.

Zkąd się bierze ta nienawiść, jeżeli nie z przekonania, że Polski tak łatwo pożyć nie można, że walka z nią za lada szczęśliwym zwrotem może się stać walką śmiertelną dla Moskwy, z przekonania, że naród Polski nie pójdzie tą drogą jaką caryzm mu wskazuje, ale stanie zawsze na zawadzie wszelkiemu stanowczemu krokowi do ujarznienia Europy. Jakże się w tym względzie odzywa „Dziennik Warszawski,” który co chwila stara się dowieść, jak błahem było ostatnie powstanie i co chwila zapomina swęj roli, bo sama nianawiść czegoś przeciwnego dowodzi. Rząd moskiewski doszedł do przekonania, że tylko ciągłym stanem oblężenia w Polsce panować może, a ten stan oblężenia świadczy o żywotności narodu, ten stan oblężenia sprawi z drugiej strony, że kraj tem bardziej ucisk czuć będzie i skorzysta z każdej sposobności do pozbycia się tego ucisku. A swo-

sobności czyż zabraknie? Dzisiejszy stan przejścia nie wieczysty w Europie, zmiana nastąpić musi, zmiana wielka stanowcza jak stanowczem było wystąpienie reakcji. Przy tój zmianie i Rosja nie obojętnym pozostanie świadkiem, a choćby zresztą jak w roku 48, zajęła stanowisko obserwacyjne, toć wiecznie stać nie będzie nad Wisłą, pilnując swego więźnia, bo życie wielkiego państwa potrzebuje wysiłków na zewnątrz, potrzebuje wojen i tych wojen uniknąć nie może, chybaży dla utrzymania Polski poświęciła całą swą żądzę dalszych zaborów, ale to byłoby niepodobieństwem. Zresztą Moskwa bez wojen sama sobie stałaby się straszna, bo tyle w niej różnorodnych żywiołów i dążeń, że po kilkoletnim spoczynku może się w własnem ciele doczekać społecznej rewolucji, której zresztą i tak nie uniknie, bo nie ma przykładu w dziejach, aby którekolwiek większe państwo kilkaset lat bez groźnych wewnątrz przewrotów przeżyło. Któż więc w razie wielkiej wojny zewnętrznej lub zamięszania wewnętrznego utrzyma Polskę w kajdanach. Czy może drużyny baszi-buzuków moskiewskich, jak w czasie wojny krymskiej? Ale naród dziś obrachował się z swemi siłami i wie o tem, czego wówczas nie wiedział, że kilka tysięcy ludzi dobrze uorganizowanych, może zatrząść w posadach wszech-rosyjskie imperjum.

Zresztą ostatnie powstanie zgubiło Moskwę w opinii ludów Europy, odkryło całą jej azjatycką fizjonomję i zarazem całą słabość wewnętrzną. Dziś ludy Europy milczą, bo muszą milczeć, ale nie zawsze tak będzie. Można rozmaitemi matactwami zaślepić wolę ludów, można je przez pewien czas silną dłonią prowadzić przeciw woli, ale ludy jak rzeki mają od

czasu do czasu, groźne wylewy i nie zawsze dadzą się w stare wprowadzić koryto. Dzieje ludzkości mają jak morze przyływ postępu i odpływ reakcji, które choć nie tak regularnie jak perjodyczne przypływy morza, pojawiają się jednak od czasu do czasu i żadna potęga ludzka zatrzymać ich nie zdoła, bo nie ręką ludzką są wywołane do życia. Dziś od 1850 roku, jesteśmy w ciągłym odpływie, ale meta tego odpływu może niedaleka. Bądź jak bądź, skoro tylko dzień swobody ludów zaświta, ludy przypomną sobie naród, który walczył za wolność swoją i za ich wolność zarazem, a ludy nie są niewdzięczne, do nas będzie należeć umiejętnie skorzystać z owej przelotnej chwili wdzięczności, póki ją jaki Kazimierz Perier lub Bonaparte, w samolubne nie otuli powijaki. Znadto liczymy zwykle na rządy, — w przedpokojach tych rządów nie jeszcze nie wydeptaliśmy, prócz jałowych ogólników współczucia, ale nie spuszczaamy z rachunku sympatji ludów Europy, bo ta kiedyś zaważy na szali zwycięstw. Od rządów tylko wtenczas możemy się spodziewać pomocy, gdy im potrzebni będziemy, od ludów zawsze, bo ludy mają chwile umiesienia, rządy są zawsze samolubne. Na wszystkie strony rozsypani wychodcy polscy, nie mało mogą przyczynić się do ciągłego żywienia w Europie sympatji dla naszej sprawy, występując wszędzie i zawsze jako przyjaciele wszystkich ludów, jako przyjaciele wolności. Słusznie powiedział jeden z naszych przyjaciół szwajcarskich, przy obchodzie rocznicy listopadowej, że gdzie stąpi noga wygnańców polskich, tam jak na drożdżach winny wyrastać idee wolności i ogólnego braterstwa wszystkich ludów. Wychodcy

polscy będą się starali wypełnić zapowiedź naszego przyjaciela.

Reasumując to, cośmy tutaj o skutkach moralnych ostatniego powstania powiedzieli, widzimy na przód, że upadek ducha dotyka tylko chwilowo i to małą częśćkę narodu, która i tak po większej części wyrzekła się już narodowości i stanęła po stronie wroga. Widzimy, że naturalną rzeczą kolejną młode pokolenie z taką samą wystąpi zaciętością przeciw wrogowi jak nasze, lud zaś oświecenijszy i mniej mający powodów do prywatnej nienawiści kastowej, stanie po stronie tego usiłowania. Moskwa tylko gwałtownymi zatem dorywczymi, niewiecznymi środkami u nas panować może, przy każdej zatem zdarzonej sposobności jej panowanie upaść musi. Opinia Europy skoro tylko będzie uwolnioną z samolubnych powijałków monarchizmu tak silnie nas wesprze, że carat będzie musiał ustąpić.

Z kolei zastanowię się nad skutkami materialnymi powstania. Nim jednak do nich przystąpię, zwrócę uwagę czytelnika na to, że naturalnym skutkiem upadku powstania, jak każdej wojny przegranej, są ogromne straty materialne, tych więc zaprzeczać nie chcę wcale, chodzi mi tylko o wyjaśnienie, czy te skutki są tak okropne jak je wyobrażnia nasza przedstawia, czy przy analizie nie przybiorą mniejszych rozmiarów.

Kraj poniósł ogromne materialne straty, to rzecz niezaprzeczone i nieuniknione w każdej wojnie, mianowicie zaś w wojnie z azjatyckim łupieżcą, który czego zabrać nie może, niszczy i burzy. Straty te głównie dotknęły właścicieli ziemskich, którym gospodarstwo nie przynosiło w tym czasie, a którzy

jednak tak swoich jak Moskali podejmować byli przymuszeni, a często byli wystawieni na najsroższy rabunek, na spalenie wszystkich budynków i zniszczenie ruchomości.

Tak samo, ba jeszcze gorzej dotknięte zostały małe miasta, których patriotyzm mianowicie w niektórych okolicach dochodził do entuzjazmu, a na których lada rotny kapitan mógł wyrzucić bezkarnie srogą zemstą. Większe miasta jedynie przez płacenie kontrybucji Moskałom i ofiary narodowej rządowi polskiemu zostały dotknięte, bo srożenie się Moskwy nad pojedynczemi ofiarami jej zemsty i rabunki dokonywane na wielką skalę, ale nie tak często znowu i nie na ogóle mieszkańców nie wchodzi w rachubę. Tak było w Królestwie, gdzie przynajmniej konfiskata nie na tak wielką szła skalę. Na Litwie i w prowincjach ruskich, kontrybucje i konfiskaty, głównie przyczyniły się do zmniejszenia ogólnego majątku narodowego. Nawet w przybliżeniu trudno dziś obliczyć, wiele milionów czy miliardów kapitału narodowego, zapełniło kufry łakomych urzędników moskiewskich. Nie małą także cyfrę wyniosłby krwawy okup, który nieraz zamożne familje ofiarowały za swych krewnych i znajomych wszechwładnym naczelnikom wojennym i któremi wzruszały sumienie szlachetnych sądów wojennych. Największą jednak stratę materialną poniosła Polska przez ubytek ludności, tyle potrzebnej w kraju rolniczym, tak mało zaludnionym, mianowicie w czasie obecnej reformy. Tysiące padły z bronią w ręku, lub skonały na szubienicach i rusztowaniach, setki tysięcy mianowicie z Litwy uprowadzono w Sybir lub do dalekich gubernji moskiewskich. Jest to strata, która się nie

da łatwo powetować, ile że szatański rząd, nowe coraz obmyśla sposoby, aby kraj z ludzi ogołocić i nowo rozporządzoną branką zagarnie sta tysięcy na wieczną niewolę i wieczne z kraju wygnanie. Są to wszystko straty wielkie i bolesne, ale część tych strat i bez powstania byłaby nas spotkała, a któraż strata wyrównywa hańbie i niewoli?

Pocieszymy się jednakże, kraj nasz będąc krajem rolniczym, prędzej jak każdy inny powróci do pory. Zanedbane gospodarstwo, podniesie się przez reformę stosunków rolniczych będącą pośrednio skutkiem powstania, właściciele ziemscy chwilowo dużo stracą, ale ich rodacy włościanie na własnej roli chętniej pracować będą, a ich dawni panowie przymuszeni do innego sposobu gospodarstwa po pewnym czasie przekonają się, tak jak się przekonano gdzieindziej, że obie strony zyskują na reformie, ogólna więc produkcja krajowa podwoi się lub potroi. Nie jeden wprawdzie zginął lub zginie w tym odmiecie, ale cóż znaczą jednostki w obec milionów, z których się naród składa, zadługo, o wiele zadługo, myśleliśmy i mówiliśmy o dobru narodu, wyobrażając sobie pod tym narodem jedną nieliczną jego kastę, odpokutowaliśmy ciężko za nasze grzechy, jeszcze za nie pokutujemy, ale już prysnęło ostatnie ogniwo obrzydliwego łańcucha, który „dzielił braci od braci nędznym kawałem ojczystej ziemi.“ Zresztą to zubożenie dawnych panów, dawniej szlachty na całej przestrzeni polskiej, kto wie czy także nie jest postępem. W dzisiejszym wieku w całej Europie przewaga i władza od szlachty przeszła w ręce miast, u nas dotąd było inaczej, któż wie, czy ostatnie powstanie tego pytania na korzyść miast nie rozstrzygnie. Zubożała naj-

przód szlachta pójdzie z pewnością do miast i tam będzie szukać uczciwego utrzymania i zarobku. Skorzystają na tem miasta pełne pierwiastku niemieckiego choćby już w tym względzie, że przybędzie im nieco pierwiastku polskiego i do tego patrijotycznego pierwiastku, bo jeżeli w ogóle szlachcie polski odznaczał się patrijotyzmem, to ten patrijotyzm w zubożalym szlachcicu potęguje się niezmiernie, bo widzi w przyszłej Polsce nie tylko ową idealną ojczyznę, zaspakajającą potrzeby moralne każdego obywatela, ale Polskę obfitą, karmiącą, Polskę bogatą i sławną. Dalszą korzyścią tego osiedlania się szlachty po miastach, jest powolne zacieranie się kastowości, zlewanie się stanów w jeden lud potężny. Wreszcie tak jak każdy przypływ ludności, tak i ten w miastach wywoła większy przemysł i handel, bo zwiększy potrzeby mieszkańców.

Mimo więc całej grozy rządów moskiewskich mimo wszelkich przeszkód w tym względzie, miasta większe zawsze będą wzrastać i potęgnać. Już w czasie powstania niezliczone owe skarby, które łakomstwo żołnierzy lub oficerów moskiewskich wydarło mieszkańcom, przeszły rozmaitym sposobem znowu w ręce polskie, mianowicie zaś za pośrednictwem żydów. Jeśli kto, to żydzi zrobili dobre interesa w powstaniu, pobogacili się niezmiernie, ale i oni jeżeli nie są, to będą Polakami, bo jużcić do Jerozolimy się nie wyniosą, a przy dobrobycie dążąc do oświaty, jeżeli tylko zechcemy, przyjmą ją z rąk naszych, staną się Polakami wyznania Mojżeszowego, a jak ostatnie powstanie dowiodło, mogą oni Polsce oddać znakomite przysługi.

I tu także od postępowania naszego z żydami

zależec będzie wszystko, dla tego nie czas zasypiac i lamentowac, ale juz dzis pojedynczo chocby pracowac w tym kierunku, bo kwestja ludowa i kwestja zydowska, decyduja o losie Polski.

Rzad rosyjski bedzie sie staral przeciagnac ich na swa strone, ale rzad rosyjski nie moze nigdy liczyc na scisle wykonywanie swych przepisow, bo kazdy czynownik o tyle mu tylko sluzi, o ile przy rzadowym ogniu swa pieczen upiec moze. Dla tego tez wszelkie starania rzadu rozbija sie o samolubna glupote urzednikow, ktorzy mianowicie wzgledem zydow beda zawsze wystepowac z taka arrogancja i niesprawiedliwoscia, ze wszelkie miodowe slowka naczelnaj wladzy nie zlagodza rozjatrzenia, ktore czynownik moskiewski w nich wywoła. Zreszta w naszym kraju, ilez to mamy srodkow do przeciagnienia zydow na nasza strone i jak powiadamy, jezeli choc czesci tych srodkow uzyjemy, zydzi stana sie Polakami, moze nie takimi, jakimybyśmy ich miec zyczyli, ale zawsze przestana przynajmniej szkodliwy wplyw wywierac...

Zastanowienie sie wszechstronne nad tem, o ile powstanie ostatnie wplynelo juz, i nadal wplynie na rozwój narodu moskiewskiego, przechodziliby zakres tej pracy, nie mogę jednak pominac faktu juz dosc jawnego. Dziennikarstwo moskiewskie krajowe dopiero w czasie terazniejszego powstania, przestalo byc trybularzem okadzajacym wiecznie nos rzadowy, rzad puscił mu wodze, jak sie puszcza psy ze sfory na zwierzynę, a ta zwierzyna byla Polska. Czlowiek jednakże spuszczoney z obrozy nie tak latwo jak pies do niej wraca, a gdy zwierzyny zabraknie w wskazanym kierunku, zacznie sie puszczac, jak tego juz

widzieliśmy przykłady, na inne pola. Za dziennikarstwem pójdzie w trop część ukształceńsza narodu, a przyzwyczajwszy się do poklasku dla śmiałych myśli, może sama zacząć myśleć i tworzyć, a czem się stanie Moskwa, gdy zachoruje na myśli?

W zdrowym organizmie państwowem, gdzie wychowanie, gdzie instytucje polityczne, gdzie obyczaje, a przede wszystkim oświata, kładą hamulec wybrykom bezrozumnej myśli, a myśl zdrową chwytają w lot i starają się przyoblec w ciało, myśl każda zdrowa, to postępek w Moskwie, która dotąd była tylko materją, której cały organizm polega na bezmyślnem posłuszeństwie do którego naginają się instytucje, jeżeli je tak nazwać można, wychowanie, obyczaje nawet, myśl nawet najrozumniejsza, ale niezrozumiana albo raczej źle zrozumiana, przez masę budzącą się z długiego letargu; w Moskwie mówię myśl taka sprawi ten sam skutek, co nadużycie dobrego nawet trunku, dobrego lekarstwa, sprawi zawrót głowy, zamęt, będzie działać jak emetyk, wydobywający wszystkie stare i nowe brudy na to tylko, aby wszystko zamącić, zaśmiecić, a nie nowego nie stworzyć.

Myśl w Moskwie to iskra pożaru w suchych stębach lub w odwiecznym lesie, a z tego pożaru nie narodzi się Fenix-Moskwa, ale Fenix-Polska; jeżeli tylko Polska nie zaprze się swych dziejów, nie pójdzie się nianęczyć jak dziecko na kolanach spruchniałego olbrzyma, ale przypomni sobie, że jest dorosłym wychowaućcem cywilizowanej Europy.

Ciągle utrzymywanie wielkich załóg wojskowych w miastach, jest także źródłem dochodu dla tychże miast, nieobfitem często to prawda, ale zawsze równoważącym przynajmniej wydatki jakie kraj na utrzy-

manie obcego rządu w swym kraju ponosi. Przez utrzymywanie ciągłego stanu oblężenia, zmuszamy właśnie rząd do kolosalnych wydatków, które niszcząc skarb państwa wracają napowrót tam, z kąd wyszły t. j. do Polski. Nie ulega zresztą wątpliwości, że miasta polskie przez moskiewską załogę nie zostaną zmoskwiczone, owszem przeciwny mógłby zajść wypadek, gdyby rząd moskiewski częstem przerzucaniem załóg nie starał się zapobiedz szkodliwym wpływom polskim.

Ze zaś z ździerstw w Polsce dokonanych rząd sam bardzo małe odnosi korzyści, bo wszystko w lot zostanie rozkradzione, rząd więc będzie więcej wydawał na utrzymanie się w Polsce, jak mu taż Polska przynieść może.

W końcu nie wypada mi pominąć pochopu do wszelkiej pracy, jaki dziś na wychodźtwie spotykamy, bo zdaniem naszym wychodźtwo się skończy, a wracając do kraju, przyniesie mu w ofierze rezultata swęj pracy, które jeżeli ta chęć, która się dziś okazuje, będzie trwała, nie będą wcale tak małe, jak się niejednemu zdawać może.

Niechże kraj w tym względzie naśladowe swych wychodźców, niech szczerze wezmie się do pracy, nie zapominając jednakże, że koroną, że ostatecznym celem tęj pracy, jest przysposobienie środków pewnych do osiągnięcia niepodległości. Wszelkie bowiem owoce pracy naszęj bez tego ostatniego warunku, na nic się nie przydadzą, bo chciwy i drapieżny wróg zabierza je i do swych własnych użyje celów.

Najżywotniejszym więc skutkiem ostatniego powstania, powinno być przekonanie, że przedzi czy



później, znów staniemy w szrankach bojowych, jeżeli się nie zechcemy zgodzić na ostateczną zagładę, przekonanie, że wszystkim trzeba pracować w tym celu, abyśmy w chwili przyszłego boju znaleźli się silni jednością, rozumni nie już „szaleńcy“, ale zdrowym pojęciem naszego położenia i silni zasobami nagromadzonemi pokojową pracą.

Jeżeli zaś wyrzeczenie się naszej narodowości, naszych dziejów, naszej przeszłości, jest dla nas niepodobieństwem, czemuż trawić czas na bezpłodnem lamentowaniu,—ten czas, w którym wróg nasz skrzętnie pracuje nad naszą zagładą, czemuż tonąć we łzach, kopać samym nowym grób dla siebie, kiedy ziemia nasza potrzebuje zasiewu i niecierpliwie czeka rolnika, któryby ją uprawiać zaczął?! Toć kraj nasz stać jeszcze na ludzi szlachetnych, którzy się podejmą tej pracy, niechże sobie kruki kraczą, niech ludzie bezwstydnij pójdą w tany z tym samym wrogiem, który co dopiero krew naszą toczył, który nam dziś urąga i shańbić usiłuje.

Przyszłość nasza wcale nie taka czarna, jak ją sobie wyobrażamy, powstanie niczego nie zgubiło, ale chwilowo wstrząsnęło, a czy na korzyść czy niekorzyść naszą, to zależeć będzie od naszego dalszego postępowania. W każdym razie jeżeli już ginąć mamy, przypomnijmy sobie, że lepiej zginąć w krwi, niż w śmieciach.

WSTĘPNA PRELEKCJA

do dziejów powstań polskich miana po niemiecku
w ZÜRICHU dnia 31 listopada 1864 r.

Panowie! Nie łatwym jest zaiste dla Polaka zadaniem opowiedzenie bezstronne dziejów swęj ojczyzny, często bowiem musi jako historyk potępić to, co od dzieciństwa za święte i nienaruszalne uważać się przyzwyczaił i starać się o rozwiązanie najtrudniejszego z zadań sławnego „*gnothi seauton*“ (znaj siebie samego). Ale jak lekarz dla dobra nauki przystępuje do sekcji ciała własnej matki, tak i historyk postępować winien, tem bardziej, że tu jeszcze ratunek, wskreszenie jest możliwe, że wykrywszy błędy, które upadek spowodziły, można znaleźć lekarstwo podźwigające z tego upadku. Z drugiej strony z bezstronności nie trzeba wpaść w przesadę i wierzyć ślepo temu, co obcy autorowie o nas pisali, pomijając zdania swych własnych historyków. Uwzględnianie takie obcych dziejopisarzy, byłoby właśnie dla polskich dziejów najszkodliwszem, bo obszerniejsze prace obcych o naszych dziejach, dopiero w czasie upadku Polski

powstały, a i wtedy nawet po większej części starano się skleić dzieje nasze z opowieści krążących po Europie, nie wchodząc wcale w to, czy te powieści były prawdziwe lub nie. Wogóle możnaby w trywjalny sposób scharakteryzować następnie sąd obcych narodów o naszych dziejach, o naszym narodzie: mówią o nas, jak się mówi w potocznem życiu: ten lub ów człowiek jest wcale niezły, jednakże sąsiedzi jego powiadają, że licho się sprawia. W moim wykładzie starać się będę o uniknienie obu ostateczności.

Nim zacznę mówić o zdarzeniach poprzedzających bezpośrednio pierwszy rozbiór Polski, czuję się obowiązany dać choć pobieżny pogląd na dotychczasowe dzieje Polski, aby słuchaczy „in medias res“ nie wprowadzić. Polska miała od chwili pierwszego pojawienia się w dziejach ludzkości szczytne, ale niebezpieczne zadanie, wstrzymywania i rozpraszania burz, które z dalekiego wschodu Europie zagrażały. To zadanie stało się tym trudniejszym do wykonania od pierwszego napadu Mongolskiego w XIII wieku, gdy księstwa ruskie graniczące na południowym wschodzie z Polską, a już przynajmniej ochrzczone od dawna, uznały zwierzchnią władzę Mongołów i z nimi razem Polskę najeżdzać zaczęły. Wprawdzie przez zajęcie Rusi Czerwonej pod panowaniem Kazimierza Wielkiego Polska zyskała dzisiejszą wschodnią Galicję, część Wołynia, Podola i Ukrainy, ale przez dobrowolne poddanie się Mołdawji pod zwierzchniczą władzę króla polskiego, zbliżyła się do najgroźniejszego sąsiada t. j. do Turcji, która właśnie rozbijała resztki wschodniego państwa, a która później nieraz wyteęzała całą swą potęgę na podbicie Polski. Ale ze wzrostem przeciwności i niebezpieczeństw, do

których nie mało się przyczyniał w chrześcijańskiej miłości bliźniego zakon teutońskich-krzyżowców, przez Polaków samych do kraju sprowadzony, opatrność zdaje się sama pomnażać chciała siły polskie, łącząc z Polską przez ślub Władysława Jagiełły, wielkiego księcia litwskiego, z Jadwigą królową polską, pogańską dotąd Litwę pod jednym berłem i wzmacniając później to połączenie dobrowolną unją obu narodów na sejmie lubelskim.

Piękny to zaiste przykład w dziejach świata, gdzie dwa zupełnie z sobą niepokrewne ludy, nie zmuszone przemocą i chytrością tyрана, ale własnowolnie spajają się w jedno ciało i to połączenie zachowują w szczęściu i w niedoli. W czasie tej unji, Polska stała na szczycie swęj potęgi, a co do cywilizacji nie ustępowała ówczesna Polska żadnemu ludowi europejskiemu. Reformacja postępowała naturalnie bardzo szybko w kraju, w którym panowało prawo: *neminem captivabimus nisi jure victum aut in crimine comprehensum*, (nikogo nie uwięzimy, chyba przekonanego sądownie o zbrodnię, lub też na uczynku schwytanego), póki taż reformacja nie była uznana za zbrodnię. tym mniej zaś można było myśleć o ściganiu sektarzy, że prawie połowa kraju była schizmatycką, a na Litwie często najwyżsi urzędnicy należeli do tak zwanej prawosławnej cerkwi. Ztaąd poszło, że wielu reformatorów wypędzonych lub przesładowanych w własnej ojczyźnie, szukało przytułku w Polsce, gdzie skutkiem napływu różnych mistrzów powstało mnóswo różnych sekt i wyznań. Ta różnorodność sekt, które mimo wszelkich usiłowań, dążących do utworzenia jedności w reformie, nie tylko nie zlały się z sobą, ale często nieprzyjaźnie wzglę-

dem siebie występowały, przyczyniła się pewnie nie mało do osłabienia i ostatecznej zagłady reformacji w Polsce, która szybko upadała, mianowicie od czasu, gdy zakon jezuitów przez wychowanie młodzieży i inne tylko temu zakonowi właściwe środki potrafił sobie stworzyć w Polsce silną podstawę działań. Ten zakon nie zadowolnił się wytępieniem reformacji, ale zaczął także pracować nad nawróceniem schizmatyków i przez swe zabiegi wszechwładne pod panowaniem Zygmunta III, obudził w Kozakach pełniących z nie małą dla Polski korzyścią, straż graniczną od strony Turcji, nienawiść przeciw Polsce, której dotąd nie mało oddawali przysługi. Kozacy poddali się najprzód Turkom, następnie wielkiemu kniaziowi Moskwy, a mieli po sobie cały schizmatycki lud w prowincjach rusko-polskich. Ten sam Zygmunt III, prócz wyniesienia do potęgi jezuitów, inne jeszcze nieszczęście na Polskę sprowadził, odziedziczywszy bowiem szwedzką koronę, nie umiał jej utrzymać, bo jako gorliwy katolik i nietolerant, nie podobał się protestantom Szwedom, którzy ostatecznie kuzyna jego obrali sobie za króla. Zygmunt nie mógł sobie wyperswadować tej dziedzicznej korony, a chociaż Polska, nigdy nie dała się wciągnąć do wojny o tę sprawę, jednakże proste zatrzymanie w tytułach swych królów, tytułu króla szwedzkiego, ściągnęło na kraj długie i krwawe wojny szwedzkie, z których zawsze korzystali inni także nieprzyjaciele, aby na Polskę uderzyć. Te szwedzkie wojny rozpoczęły całą serję wojen, trwających z małemi przerwami wiek cały. W tym czasie cała Polska z wyjątkiem Gdańska i Częstochowy, była przez pewien czas w ręku swych nieprzyjaciół sprzymierzonych Szwedów, Brandebur-

czyków, Moskali i Siedmiogrodzian, a że Szwedzi, nie wspominając już o innych wrogach, nie należeli do najdelikatniejszych wojaków, o tem dostatecznie i w innych przekonano się krajach.

Wystawmy sobie w dzisiejszym cywilizowanym wieku kraj najbardziej kwitnący, wystawiony na najezdniczą wojnę przez wiek prawie cały, a będziemy mieli słaby obraz tego, czem była Polska po tych wszystkich wojnach.

Cały kraj był jednym wielkiem zgorzeliskiem, a nieliczną i wystraszoną ludność, dziesiątkowała jeszcze zaraza tak, iż Polska licząca za Jagiellonów 20 milionów ludności, po 40-letnim pokoju za czasów saskich, ledwie 12 milionów posiadała, że miasto takie jak Kraków, mające w XVII wieku przeszło 80,000, teraz ledwie 4,000 nędzą przyciśnionych obywateli liczyło i tak samo upadły inne miasta polskie.

Polskie główne miasta nie mniejszą cieszyły się wolnością jak niemieckie i nie złym ustawom, ale raczej długim wojnom ich upadek przypisać należy. Mniejsze miasta podlegały wprawdzie zupełnie swym panom, ale to było wszędzie w Europie w owych czasach.

Gorszym jednakże od wyludnienia i zubożenia kraju był upadek oświaty i wszelkiej nauki, biedny kraj musiał się teraz rzucić ślepo w objęcia swych nauczycieli jezuitów, którzy przynajmniej łacinę rozumieli, a ciemnota jak czarny całun pokryła ziemię Polską. Dodać tu trzeba, że zubożała szlachta i zubożałe miasta, nie równoważyły już dzisiaj wpływu i teraz jeszcze bardzo zamożnych. po części nawet zamożniejszych magnatów i że Polska de facto choć nie de jure rozdzieliła się na tyle księstw, ile było

familji magnackich w kraju. Również jak książęta niemieccy mieli magnaci polscy familijny interes, na względzie i więcej troszczyli się o własne dobro niż o dobro ojezyny.

Magnaci oparli się teraz na zubożałej i zgłupiałej szlachcie, która ich kostem wychowywała się i żyła, a za to musiała wszędzie i zawsze nadstawiać karku za dobro domu, który ją utrzymywał. W ten sposób powstały w Polsce owe osławione fakeje, które ślepe i głuche na głos sumienia i prawdy, rozdzierały własną ojezynę na korzyść domów magnackich. Rodzaj feudalności, nieznaną nigdy w Polsce, a w zachodniej Europie dawno przegniłej, powstał teraz w Polsce i prowadził ją zupełnie w odwrotnym kierunku od jej dotychczasowego rozwoju.

Konstytucja polityczna Polski nie była także tego rodzaju, aby skolataną nawę państwa podtrzymywać mogła, owszem stała się ona w tym czasie zupełnie niemożliwą.

Polska była rzecząpospolitą pod obieralnymi królami i wielu utrzymuje, że ten dualizm był jedną z głównych przyczyn jej upadku. Ja z meej strony nie widzę tu dualizmu, bo król polski nie był niczem więcej, jak dożywotnim prezydentem rzeczypospolitej, tytuł królewski został się tylko jako tradycja czasów dawniejszych. Nazywano przecie króla pierwszym pomiędzy równymi i w istocie nie był on niczem więcej.

Król mianował ministerjum i senat, którzy się dzielili władzą wykonawczą kraju, władzę prawodawczą tworzyła izba poselska, składająca się z posłów, po województwach i ziemiach przez szlachtę wybranych i reprezentantów głównych miast. Bez

pozwolenia tej Izby żadne prawo nie mogło być wprowadzone każde zaś prawo musiało być jednozgodnie przyjęte, to jest każdy poseł miał prawo przez swoje veto zerwać obrady sejmowe.

Falszywe pojęcie stosunków dawnych Rzymian, których Polacy starali się naśladować, wprowadziły to nieszczęsne niepozwalam, które tamowało w czasach upadku wszelki rozwój, wszelki rząd.

Charakterystyczną jednakże jest rzeczą, że w epoce, w której rozum stanu i oświata były wyżej rozwinięte, owe veto nigdy nie było użyte i pojawiło się ono dopiero w najnieszczęśliwszych czasach Rzeczypospolitej, używane mianowicie przez stronników magnackich familji do zbezwładnienia rządu. Nie potrzeba bowiem dowodzić, że z upadkiem centralnej władzy państwa, taż władza przechodziła naturalnym spadkiem w ręce tych panów. Że zaś polscy magnaci co do potęgi prywatnej nie ustępowali w niczem oktańskowemu księżętom niemieckim można się przekonać z tego, że np. książę Karól Radziwiłł, panie kochanku, utrzymywał 7,000 ludzi stałej prywatnej milicji, że Potoccy, Czartoryscy, Sapiehowie i inni po kilka pułków kozackich, a prócz tego i piechotę mieli. — Wszyscy ci magnaci byli urodzonymi kandydatami do tronu, a tem samem wrogami każdego rządu, którego sami nie ulepili.

Ponieważ zaś każdy z nich osobistym, własnym służył widokom, szarpali więc na wszystkie strony biedną Rzeczpospolitą i coraz nowy wyłom w słabym wrywali budynku. W swoich okolicach byli oni rzeczywistemi monarchami, dziedziczyli prawie zawsze zaszczyty i dochody swych przodków, a biada temu, ktoby im śmiał przypomnieć o równości i o chlebie

dobrze zasłużonych. — Mówili wprawdzie każdemu szlachcicowi panie bracie, ale ten sposób mówienia był czystą obłudą, obrachowaną na dobrotliwość i głupotę panów braci, którzy mimo całego braterstwa kolana starszego brata, jak magnatów nazywano, ściskali. Takie były wewnętrzne stosunki Polski w pierwszej połowie XVIII wieku pod królami z dynastji Saskiej, którzy także nie byli wcale orłami, aby zgniłą budowę podźwignąć mogli.

Owszem przez lenistwo i ambicję opierającą się zawsze na zagranicy nie mało przyczynili się do zrujnowania kraju.

Zupełnie inaczej wyrobiły się w tym samym czasie państwa sąsiednie.

Dom Austryjacki umiał skorzystać z polskich zwycięstw nad Turkami i rozszerzył swoje posiadłości daleko na wschód i południe. Stracił wprawdzie w ostatnich czasach Szlązk, który zajęli Prusacy, ale posiadając liczną i dobrze wyćwiczoną armią czekał tylko sposobnej chwili do powetowania tej szkody. Nowo upieczone królestwo Pruskie, czyli raczej posiadłości domu Hohenzollern, które tem zapomnianem już mianem dawno uciemiezonego ludu na Prussy przechrzono, doczekało się właśnie pod Fryderykiem II najświetniejszej epoki, spożyło Szlązk, a władzca jego nie syty zdobyczy przemyśliwał ciągle nad polataniem poszarpanego kroju państwa kawałkami ziemi Polsce wydrzeć się mającej. Już w czasie siedmioletniej wojny werbownicy Fryderyka bezkarnie przebiegali Wielkopolskę i znaczna część owęj sławnej armji pruskiej, a mianowicie też tyle wślawiony pułk huzarów Ziethena składały się przeważnie z Polaków. Przy tem werbunku starano się kraj Polski dokła-

dnie zbadać i poznano, że rzeczpospolita przeciw obcemu najazdowi wcale nie była zabezpieczoną. Wielkie księstwo moskiewskie znalazło dla siebie w jednym z Prusami czasie nowe nazwisko i prosperowało teraz pod nazwą rosyjskiego imperium w znakomity sposób. — Piotr, nazwany Wielkim, przeniósł stolicę państwa do prowincji niedawno Szwedom wydartej, do miasta, które czarodziejską mocą wywołał do życia i na trupach 100,000 chłopów postawił. — To państwo łączące w sobie Byzantyńską obłudę z mongolską niewolniczością i słowiańskim uporem już swem nowem nazwiskiem rzuciło rękawicę Rzeczypospolitej Polski, w której skład większa część ziem ruskich wchodziła. Zdawali się to pojmować nawet najograniczeńsi ówczesni politycy nasi, niechcąc przyznać ani carowi, ani królowi pruskiemu nowych tytułów.

Założyciel Petersburga jednakże był zanadto przenikliwym politykiem, aby miał nastawać o to przyznanie i wejść w otwarte zapasy z Polską, wiedział on, że właśnie udając przyjaciela Polski więcej jej zaszkodzić może i tą samą myślą kierowali się jego następcy, oczekując tylko sposobnej chwili do przeprowadzenia swych pretensji.

Przy takich stosunkach już na początku XVIII wieku było rzeczą jasną, że Polska przy pierwszej lepszej sposobności przez sąsiadów zaczepioną zostanie i to mniemanie było już wówczas dość rozpowszechnione.

Już w d. 6. lipca 1712 roku pisał angielski rezydent w Gdańsku sir Scott do ministra Bolingbroke: „Car zabezpieczony ze strony Turcji, knuje inne daleko ważniejsze plany. Układa się z cesarzem nie-

mieckim o dalsze prowadzenie wojny przeciw Francji, nawet bez Anglii, a to w tym celu, aby, skoro Francja zostanie sprowadzoną na to stanowisko na jakim życzy sobie ją widzieć cesarz niemiecki, car mógł sobie koszta wojenne wynagrodzić w Szwecji i Polsce, o której podział ci dwaj układają się“ — a w następnym roku pisze tenże sam Scott dnia 14 marca 1713: „Obstaję przy swoim zdaniu, o którym miałem sposobność mówienia już w przeszłym roku, że podział Polski nie można uważać za mrzonkę, skoro car z cesarzem się sprzymierzyli, i skoro król Pruski, o czym niewątpię, do nich się przyłączy. Słowem kto tutaj z bliska patrzy się na okoliczności i charakter głównych przewodzców ocenić umie, może z pewnością przepowiedzieć długie lata niepokoju i zamieszek dla tych okolic.“

Uzy te układy o których wspomina minister angielski, rzeczywiście się toczyły, nie można dzisiaj na pewno wyświecić, pogłoski jednak powtarzały się dość często, a nawet spowodowały w następnych latach szanownych sąsiadów do otwartego wystąpienia przeciw tym, jak nazywali, plotkom.

I tak pisze Fryderyk Wilhelm Pruski w r. 1719 do Augusta II: że niecni ludzie przypisywali mu zamiar podziału Polski, on zaś nietylko jest dalekim od podobnych zachcianek, ale nawet wszelkiemi siłami będzie zaslaniać wolność Rzeczypospolitej podług istniejących traktatów. Prawie w ten sam sposób odzywa się Piotr moskiewski i dodaje, że w własnym interesie nie może ścierpieć rządu despotycznego i successyjnego w Polsce.

Dla czego więc tym panom, którzy zaprawdę

dość despotycznie w swych krajach występowali, tak bardzo podobały się wolnomyślnie ustawy polskie?

Wiedzieli oni, że utrzymując ten stan swywoli w Polsce, uniemożliwiają wszelki rozsądny rząd i spodziewali się łatwego połowu w mętnej wodzie Rzeczypospolitej. Traktaty zresztą na które się powołują, są utworem ich wyobraźni, w rzeczywistości nieistniały one nigdy i szanowni sąsiedzi dobrze o tem wiedzieli, ale przyzwoicij brzmiało powoływanie się na zobowiązania, niż na własnowolne zachcianki. We wszystkich ówczesnych traktatach Moskwy z Szwecją i Turcją nieprzepominano nigdy o przyjacielskiej Polsce i zobowiązywano się wzajemnie do utrzymania istniejącego porządku a raczej nieporządku w tym kraju.

Wzelako wszystkie te traktaty i zobowiązania nie wystarczały na rozbitcie Rzeczypospolitej, gdyby naród, jak to nieraz w dawniejszych czasach bywało, mieczem i krwią obce wpływy odrzucić był zechciał; chodziło więc o rozdział wewnętrzny narodu, o silny punkt oparcia w jednej z licznych partji, za pomocą której zamierzano dumne zamysły do skutku doprowadzić. W zamięszaniu takim pojęć, w jakim wówczas była Polska, nie trudno było dworom sąsiednim znaleźć sprzymierzeńców, ile, że wystarczało do osiągnięcia celu zawiązania stosunków z którymkolwiek domem magnackim. Jednym z najpotężniejszych domów w ówczesnej Polsce, był dom braci Czartoryskich Michała kanclerza litewskiego i Augusta wojewody Ruskiego. Ci panowie, obdarzeni zarówno darani przyrodzenia i dostatkami, oddawna knuli plany przeobrażenia rządu w Polsce i zyskania dziedzicznego tronu dla swęj familji. Przez dobrą admi-

stracę rozległych swych majątków, przysposabiali sobie środki do osiągnięcia tego celu, licząc na przedajność gminu szlacheckiego, z drugiej zaś strony starali się o zapewnienie sobie przyjaźni postronnych dworów, mianowicie zaś Rosji, dokąd wysłali swego siostrzeńca Stanisława Augusta Poniatowskiego. W Petersburgu panowała wtenczas cesarzowa Elżbieta, na której dworze Poniatowski wystąpił jako sekretarz ambasady polskiej, starając się zawiązać stosunki z osobami wpływ mającemi. Nowy poseł, który był nadzwyczaj przystojnym i dobrze wychowanym młodzieńcem, podobał się ówczesnej w. księżnie Katarzynie, zawiązała ona z nim stosunek miłosny, za pozwoleniem swego dostojnego małżonka w. ks. Piotra, który ze swjej strony w podobnym stosunku z księżną Woronców żyć raczył.

Katarzyna miała wtedy dobrą sposobność studjowania charakteru pana Poniatowskiego, którego staranniej badała, niż w podobnych stosunkach jest zwyczajem. Późniejsza cesarzowa znalazła w swym kochanku posłuszne narzędzie do wykonywania swych planów.

Poniatowski opuścił Petersburg już z obietnicą korony polskiej nie dla stryjów, ale dla siebie, Katarzyna zaś przez rewolucję pałacową została wyniesioną na tron rosyjski. Jej uprzejmość dla wszystkich ludzi wpływowych, dla których często swego stanowiska księżnej i małżonki zapominała, zjednała jej znaczną partję, której szeregi powiększyły się wszystkimi wrogami jej męża, protegującego zanadto żywiol niemiecki. Katarzyna udawała przywiązanie do wszystkich nałogów i zwyczajów moskiewskich, zer-

wała z cudzoziemcami, a nawet zaprzestała korespondencji z Poniatowskim, nie porzucając jednak planu osadzenia go na tronie polskim. Udawała jednak że trzyma z Czartoryskimi i dopiero po śmierci Augusta III, przed samą prawie elekcją otwarcie wypowiedziała swe postanowienie, że wszystkimi swymi siłami obiór Poniatowskiego wspierać będzie. Dwaj bracia, którzy tron Polski synowi Augusta księciu Adamowi, generałowi ziem podolskich przeznaczali, zdumieni na ten projekt Katarzyny, nie śmieli jednak stawiać oporu, sądząc zresztą, że swego siostrzeńca nakłonią do przeprowadzenia swych planów. Z powołanymi przez Czartoryskich wojskami moskiewskimi, połączyła się milicja Czartoryskich i liczni stronnicy tworzący dość znaczny zbrojny zastęp. Te wojska otoczyły Warszawę, gdzie był zebrany sejm konwokacyjny, a gdy stary marszałek sejmowy Małachowski złożył laskę, po bezskutecznem wezwaniu oddalenia obcych wojsk, stronnicy Czartoryskich obrali marszałkiem księcia Adama i ukonstytuowali się w sejm konfederacyjny, na którym większość głosów decydowała, wiedząc, że prawie cała opozycja ze starym Małachowskim opuściła miejsce obrad. Na tym sejmie zatwierdzono naprzód tytuły króla pruskiego i cesarza rosyjskiego, po uroczystem zrzeczeniu się obu dworów w swym i następców imieniu wszelkich pretensji do Polski, na zasadzie tych tytułów oprzeć się mogących. Następnie ograniczono i prawie zniesiono liberum veto i postarano się o wprowadzenie kilka innych dość ważnych ustaw. W końcu oznaczono dzień elekcji, ponieważ zaś stronnicy Czartoryskich postarali się o to, aby nikt z opozycji nie mógł dotrzeć na pole elekcji, wybrano pra-

wie jednogłośnie królem Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Tak więc osiągnęła Katarzyna najbliższy swój cel, osadzając na tronie polskim człowieka, którym większość narodu pogardzała; łatwym więc było do przewidzenia, że patrijotyczna partja przy pierwszej lepszej sposobności chwyci za broń, aby się pozbyć rosyjskiego satrapy. Dwór petersburgski dołożył teraz wszelkich starań, aby tę chwilę przyspieszyć, aby wywołać w Polsce wojnę domową. do której sam skrętnie przygotował materiały.

NA KWATERZE.

POWIASTKA

na prawdziwym zdarzeniu osnuta.

W drugiej połowie marca r. 1863, był wielki ruch na powiślu galicyjskiem. Po owem nieszczęsnem przejściu przez granicę i schwytaniu dyktatora, powstańcy całemi gromadami przeprawiali się przez Wisłę i już to w Tarnowskiem, już to w Krakowie i okolicy, szukali przytułku. Na każdym kroku spotkać było można pojedyncze kupki dziwacznie ubranych, a zimową partyzantką wyniszczonych ludzi, którzy formalnie oblegali dwory okoliczne, aby w nich choć chwilowy znaleźć przytułek. Szczęśliwi, którzy mieli znajomych i krewnych w okolicy, bo nie wszędzie obcych z równą przyjmowano gościnnością i nieraz zgłodniały i obdarty żołnierz powstańczy, musiał w daleką udać się stronę, nim znalazł przytułek i spoczynek. Lepiej się tym działo, którzy się dostali do Krakowa, bo patrijotyczni tego miasta mieszkańcy, na wyścigi ofiarowali im swą pomoc i otwierali swe domy. Na wsi nie zawsze i nie wszędzie tak było.

Ale zostawmy na boku ten cały obraz pierwszego wychodźstwa, a przypatrzmy się bliżej kilku ludziom, których zbieg okoliczności i własny przemysł, postawił nienajgorzej w oczach społeczeństwa galicyjskiego.

Z oddziału Jeziorańskiego dwóch synów Warszawy, przepawiło się także przez Wisłę i po rozmaitych przygodach dostało się do Tarnowa.

Antek i Pawełek dwaj bracia cechowi, cyrulicy z Warszawy, nieodstępni towarzysze w obozie i dziś za granicą Kongresówki się nie rozdzielali, bo im raźniej było we dwóch biedzie w oczy zaglądać. Antek i Pawełek przyjechawszy do Tarnowa, znaleźli się na czele jednego papierowego rubla, zabytku jeszcze z Warszawy, a zmieniwszy ten rubel na cesarsko-austrjacką monetę, rozdzielili pomiędzy siebie 18 papierków 10-krajcarowych, z silnem postanowieniem zrobienia jak najprędzej fortuny własnym przemysłem. W Tarnowie znalazło się dosyć koleżków, a że ten i ów miał jaki grosz w kieszeni, więc z desperacji po tak smutnych przejściach, wzięto się do stosika. Szczęście służyło naszym dwóm młodym bohaterom i wkrótce ruble i reńszczaki kolegów przyniosły się do ich kieszeni i tego jeszcze wieczora obrachowawszy się sumiennie, znaleźli się panami przeszło stu pięćdziesięciu reńskich, kwoty jak na powstańców znakomitęj. Kto inny byłby spoczywał na laurach po takim zwycięztwie, ale duch przedsiębiorczy naszych cyrulików, nie dozwolił im spoczynku; owszem do nowych zapalał ich czynów. W czasie już pobytu w Galicji poznali oni dokładnie, że wyszarzany kożuszek powstańca lichy robi wrażenie, przedewszystkiem postanowili więc ubrać się tak, jak

na synów Marsa przystało. Któż nie widział owych buńczucznych kostjumów, jakimi mianowicie odznaczali się salonowi bohaterowie z czasów powstania, owych sutych kołpaków przyozdobionych kitką lub piórem, owych dołmanów bramowanych futrem, owych burek junackich i połyskujących butów?

Zydkowie tarnowscy dużo takich kostjumów mieli na pogotowiu, do nich więc udali się nasi powstańcy. Szmul ubrał ich od stóp do głów, potem sam z uszanowaniem zdjął czapkę i pokłonił się panom oficerom, bo rzeczywiście w nowym powstańczym mundurze nasi golarze oficerską mieli minę i fantazję. Zapłacili więc dobrze żydkowi, który ich obdarzył takim ubiorem i przydomkiem i nakręciwszy się po mieście, znaleźli jakiegoś poczciwca z świętej p. ławy tarnowskiej, któremu już jako oficerowie z korpusu dyktatora się przedstawili. Poczciwy ławnik narodowy zaprosił ich do swego domu i tak suto uczęstował, że ani myśleć było można o powrocie do kwatery, zostali się więc pod gościnnym dachem ławnika p. Piotra. Zawarłszy z p. Piotrem bliższą znajomość, nie wielkim trudem wyrobili sobie u niego kartkę kwaterunkową, polecającą wszem w obec i każdemu z osobna pp. oficerów z korpusu dyktatora Langiewicza. Poczciwy p. Piotr nie poprzestał na tem, ale widząc, że fundusze pp. oficerów są bardzo nieznaczne, polecił ich listem swym znajomym z okolic Rzeszowa i kupiwszy im bilety na kolej do tego miasta wyprawił.

Pawełek i Antek przybyli do Rzeszowa pociągiem popołudniowym, a mając jeszcze kilka reni, postanowili poznać to stołeczne obwodowe miasto; nie

obciążeni pakuukiem, wprost z dworca udali się per pedes apostolorum do wnętrza grodu.

¶ | Po długiej wędrówce w błotnistych ulicach nie znalazłszy nic uwagi godnego, prócz starego cmentarza żydowskiego, którego pomalowane kamienie sterczą zpośród nowych domów przedmieścia, stanęli na nocleg w palladjum rzeszowskich hoteli, w hotelu Europejskim Luftmaszyna. Każdy z przejeżdżających przez Rzeszów, zna ten przybytek gościnności, to centrum życia podróznego dla Rzeszowa i okolicy. Hotel Luftmaszyna stał się historycznym w ostatnich czasach i może kiedyś gdy uznanie wielkości wszelkiego rodzaju będzie ogólniejsze, wyjdą z druku Tajemnice Luftmaszyny, bo nie jeden dramat i komedja w nim się rozpoczynała i kończyła. Pominąwszy więc pogardliwie Hôtel de National (sic) udał się Pawełek z towarzyszem do Luftmaszyny, gdzie spore grono obywateli okolicznych, miejscowych i przybyśzów z obozu, przy węgierskiem winie o dobru kraju radzili. Buńczuczne miny nowych gości, warszawskim polorem wydostojnione, zaraz zwróciły uwagę wszystkich przytomnych.

Pochrząkiwano, uderzano się łokciami na znak porozumienia, nareszcie jeden ucziwie podiluminowany jegomość odchrząknąwszy kilkakrotnie, zbliżył się do siedzących na uboczy bohaterów i z słodziutkim przemówił uśmiechem:

— Panowie Dobrodzieje zapewne z obozu?

Na tę galicyjską konieczną intytulację, Warszawiacy spojrzeli po sobie z zadowoleniem, a Pawełek poprawiając kołnierza odpowiedział krótko:

→ Tak jest mój panie!

— A cóż tam nasi, cóż dyktator? i inni przysunęli się ciekawie i otoczyli wiankiem powstańców.

— Dyktator, jak panowie wiecie schwytany, ale powstańcy mają chwilowo zająć kwatery w Galicji, ot i ja z moim kolegą w tym celu przybyliśmy do Rzeszowa, bo jako oficerowie otrzymaliśmy kwatery w porządnym obywatelskim domu.

— A dokąd to panowie Dobrodzieje udają się na kwaterę, zapytał znów stary jegomość, którego panem Szymborkiem nazywać będziemy.

Pawełek wyciągnął świstek papieru popatrzył w niego i odpowiedział:

— Mamy polecony sobie dom obywatela Szymborka w Zegockiej Woli.

— A to zdarzenie szczęśliwe, zawołał stary jegomość, ja jestem Szymbork z Zegockiej Woli, a z kimże to mam honor mówić?

Pawełek zastanowił się chwilę, a potem śmiało odpowiedział: Jestem hrabia Firlej z Litwy, kapitan wojsk narodowych, a mój towarzysz także Litwin, p. Boćwinowicz.

Całe zgromadzenie popatrzyło się ciekawie na powstańców, widocznie tytuł zaimponował przytomnym, bo dopiero po pierwszej chwili p. Szymbork się odezwał:

— Cieszę się niezmiernie, że braci Litwinów i do tego tak dobrą szlachtę w domu moim powitam, no proszę, a ja myślałem, że Firleje dawno wymarli.

— Może w Galicji ale nie na Litwie, śmiało odpowiedział Pawełek z fantazją tak czysto hrabiowską, że nikt z szanownego zgromadzenia nie wątpił o pełnokrwistości p. Firleja.

Zaproszono zaraz nowo kreowanych Litwinów do ogólnego stołu, sypały się zdrowia i wiwaty, a dopiero około północy p. Szymbork zabrawszy dobrze pijanych swych gości, ruszył dziarską czwórką do pobliskiego domu.

Zostawmy teraz naszych bohaterów na drodze do Zegockiej Woli, aby naprzód obeznać się z mieszkańcami zegockiego dworu.

W powiecie Strzyżowskim niedaleko miasteczka Czudca, leży wieś Zegocka Wola w głębokim parowie, w którym Wisłok huczy i szumi po kamienistem łożu. Dwór leży na wzgórku i zdaje się z dawniejszego przebudowany zameczka, bo otacza go jeszcze mało naruszony wał, śladami fosy obwiedziony. Z za wału wygląda sadek, a zabudowania gospodarskie także murowane zamkową cegłą, ciągną się ku Wisłokowi.

Z dworu piękny przedstawia się widok, na górzysty krajobraz, w którym tu i owdzie sterczą ruiny dawnych grodów i wieże kościołów, w dali majaczej sine szczyty Karpat, słupy graniczne Polski. Ale w tym czasie cały ten krajobraz smutną miał barwę, wiosna borukała się z zimą, to deszczem to śniegiem walczyły z sobą, zakrywały cały widnokrąg ołowianym całunem chmur i mgły. Na dworze Zegockim także znać było jeszcze zimą, bo okna szczelnie pozamykane i pozaklejane szlachetnym przodków obyczajem, a na kominkach staropolskich, których tam jeszcze nie brak, buchał ciągle podsycany ogień, jakby znicz jaki. Ależ bo i westalek nie brakło.

W saloniku dość elegancko urządzonej, w którym jednakże dobry gust z chęcią błyszczenia ubie-

gały się o lepsze, siedziały trzy kobiety, z których jedna już dosć podżyła, dwie zaś inne młodzietkie i hoże. Starsza trzymała w ręku jakąś robotkę, dwie młodsze chichotały w kąciku nad jakimś albumem, czy sztambuchem.

— Ależ moje panny, odezwała się starsza wiekiem osoba; czy tak cały wieczór na oglądaniu fotografii przepędzicie? ot lepiejby się czemś zająć, choćby szarpie skubać dla naszych rannych.

— Moja ciociu, odpowiedziała brunetka Jadwiga, dopiero dzisiaj papa zawiózł do Rzeszowa całe pudło od kapelusza, pozwoli więc kochana ciocia, że choć jeden wieczór przegadamy, bo i palce już bolą.

— A smutnaż to robota moja ciociu, ozwała się młodsza Henryka, bo to zawsze przywodzi na myśl tych biednych rannych, nad którymi Moskale się pastwią i dla tego wolimy dzisiaj choć na fotografje zdrowych powstańców popatrzeć, kiedy nas papa nie chce zawieźć do Krakowa, gdzie podobno ich dziś bardzo dużo bawi. Patrzaj ciociu, jaki to przystojny chłopiec ten oto żuaw, jak mu do twarzy w tym dziwnym ubiorze.

I lekko poskoczyła do cioci, pocałowała ją w pomarszczone czoło i ciocia musiała przyznać, że chłopiec ładny — i że warto oglądać fotografje.

Byli tam: dyktator, panna Pustowojtoff, Rochebrune, Jeziorański, Śniechowski, Padlewski, grupy powstańców i za granicą potwornie nieraz zestawione wizerunki wielkich ludzi w Polsce, były pokaźne exemplarze prostych powstańców i oficerów.

Henryka unosila się mianowicie nad marsową postawą swęj imienniczki i po głowie młodego dziecięcia snuły się obrazy obozowe i bitwy i zwycięż-

twa, a nad tem wszystkim unosił się mglisty, niewyraźny obraz, jakiegoś powstańca bohatera, którego jej serduszko brało w opiekę i namaszczało na swego rycerza.

Jadwiga marzyła, cokolwiek treściwi jej może, cokolwiek prozaiczniej, ale i u niej na końcu długiej alei patryjotycznych uczuć, stał ułan na pikiecie ze znaną śpiewką w ustach.

Każdy czas niesie ze sobą swoje wrażenia, a gdzież one silniej się odbijają, jeżeli nie w młodocianych sercach, w młodych umysłach, w których gra wyobraźni zastępuje wyrozumowane poglądy, które świat tęczyowy niosąc w swych główkach, ubarwiają jego kolorami wszystko, co ich otacza.

Jadwiga i Henryka, wychowane na wsi w klasztorze nie bardzo od domu oddalonym, ztamtąd do stały się do nowego klasztoru, do domu, w czasie w którym wszelkie tłumniejsze ustały zabawy, w którym cały kraj przywdział żalobne szaty i żalobne myśli, nie znały więc świata zupełnie, a ten, który ich otaczał, tak był jednostajny i nudny, że całą siłę wzroku duszy wyteżwały na zewnątrz, marząc, że za tą domową klatką, są wonne gaje i szumiące strumyki i zaczarowani rycerze i zakłete księżniczki. Nie dziw więc, że gdy powstanie poruszyło całym krajem, wyobraźnia naszych dziewcząt nadzwyczaj była czynną, aby sobie stworzyć choć w myśli obraz tego świata, zdala od nich tętniącego szalonym gorączkowym życiem, wrzawą bitew i swarów politycznych nad którym unosił się anioł nadziei, gwiazdą zbawienia opromienioną. Chętnieby każda z nich lotem ptaka, pobiegła do Krakowa, o którym cuda na wsi

rozpowiadano, gdzie tylu się snuło powstańców, gdzie nie jeden oddział znalazł Kapucę, prowadzącą do Noli.

Ale przezorny ojciec nie chciał wprowadzać młodych dziewcząt w ten świat, gdzie młodociane główki i gorące serca, łatwo zawrócić się mogły, bo Szymbork marzył dla swych córek o przyzwoitem zamęściu, według swego pojęcia. Sam rozmaitym sposobem dorobiwszy się fortuny i galicyjsko-polskiego szlachectwa, chciał swoje córki przynajmniej o stopień wyżej od siebie postawić i jeżeli nie za jakiego grafa, to już przynajmniej za neofitę barona za mąż wyprawić. Stary Szymbork nie zły był człowiek, a przede wszystkim stosował się do owych powiewów wiatru u nas opinią publiczną ochrzczonych, ponieważ zaś ten powiew dziś dał w patryjotyczne żagle i p. Szymbork bawił się w patryjotyzm i nie raz w dobranem towarzystwie, przy kieliszku węgryna, rozpowiadał o zasługach swych przodków i poświęceniu własnem dla ojczyzny. Po trzeźwu wprawdzie równoważyły się u niego pojęcia dobra ojczyzny i korzyści z gorzelni, nikt jednak nie mógł go posądzać o niepatryjotyzm, mianowicie w czasach, gdy pracowano na drodze legalnej nad podniesieniem kraju.

Panny już w innych wychowane pojęciach, a zresztą młode i uczciwe, nie smakowały w owych zapowiedziach szczęścia, które im ojciec wygłaszał, owszem przez naturalną bardzo opozycję szukały tego szczęścia gdzie indziej, a niedawno nadesłane przez koleżanki z Krakowa fotografie i listy wzburzyły je do tego stopnia, że ani nie myślały o pocziwych Galileuszach otytułowanych austriacką szczodrobliwością, marzyły zaś o bohaterach czysto narodowych.

Cały wieczór przeszedł na ożywionej pogadance a raczej na improwizacjach panieńskich z bieżących wypadków, których ciocia z cierpliwością i powagą słuchała, czasem tylko strofując zbyt żywe uniesienie. Spodziewano się, że p. Szymbork przybędzie z Rzeszowa, ze sporą dozą nowin i dla tego przeczekano zwyczajną godzinę dziesiątą i jedenastą, ale gdy i wtedy p. Szymborka widać nie było, znużone czekaniem kobiety, udały się na spoczynek, a nasze panny w nocnych marzeniach śniły jeszcze powstańców, kochanków.

Okolo drugiej w nocy, zawitał p. Szymbork z gośćmi do swego dziedzictwa, zaprowadził ich sam do gościnnego pokoju i polecił sumiennym staraniom stróża Jana, który sprawował zarazem urząd pomocnika lokajskiego. Nasi bohaterowie zasnęli wkrótce snem sprawiedliwych i dwór znów zaległa cisza, przerywana tylko szczekaniem psów podwórzowych.

Nazajutrz rano, niezwykle ruch panował w Żegońskiej Woli. Już wszyscy wiedzieli kto i z kąd przyjechał, bo p. Szymbork wstawszy dość rano, rozpowiadał cioci i córkom o swoich gościach i zaostrzył tak dalece ciekawość tych ostatnich, mianowicie co do zewnętrznej strony naszych bohaterów, że wysyłały kilkakrotnie pokojówkę Zuzię na zwiady, czy już powstał, czy ubrani, czy może chce kawę i. t. p.

Zuzia za każdym razem powracała z kwaśną miną, bo i ona radaby powstańców obaczyć, a tu lokaj Jan jak na złość ciągle ją odsyła z krótką odpowiedzią: śpią jeszcze.

Pawełek i Antosł spali rzeczywiřcie jak najsmaczniej w wygodnych łózkach zegockiego dworu, a poniewaŝ p. Szymbork zakazał ich budzić, więc lokaj Jan czekał spokojnie, póki swojej poreji snu nie odchrapią.

Juŝ dobrze słońce zagładało do komnaty młodych ludzi, a jednak ŝaden się nie zabierał do ocknięcia. Znużone panny, zaczęły głořno grać na fortepianie, z obrachowaną intencją obudzenia śpiochów. Odegrały juŝ kilka hymnów napróźno, aŝ nareszcie głořne akordy mazura Dąbrowskiego, osiągnęły poŝądany skutek.

Pawełek śpiący jeszcze skrzywił się najprzóđ, potem mrugnął jedną, następnie drugą powieką, nareszcie machnął ręką i równemi nogami z łózka wyskoczył. Na twarzy jego malowało się zdziwienie, harmonizujące dziwnie z zadziwieniem w tej chwili obudzonego Antosia. Obaj chłopcy spojrzeli na siebie i powitali się serdecznie: dzień dobry. Jakże spałeś? ŝapytał się Pawełek, mnie w tej chwili się zdawało, ŝe trąbią na alarm i dobrze przetarłszy oczy, dopiero się przekonałem, ŝe ktoś gra na fortepianie!

— Mnie zaś mocno zaintrygowała atlasowa kołdra — i dla tego tak znacząco na ciebie spojrzełem, odezwał się Antek, widać, ŝe zajechaliśmy do jakiegoś bogatego domu.

— Mniejsza z tem, ale panny są, ot czy słyszysz, jak śpiewają!

W tej chwili z dołu odezwały się dwa przyjemne głosiki, nućące znaną piosnkę: Bywaj dziewczę zdrowe.

Przyznam ci się Pawelku, ŝe mnie te panny bardzo przestraszają? Gdyby to tak z Frózią na Trę-

backiej, toby się i rozsądnie przemówiło, ale tu z takimi pannami.

— Głupis mój Antku, czy z Józią czy z Fruzją, czy z panią czy z kawiarką, jedna sprawa. Raptem do niej, jak mówi przysłowie. A zresztą od czegoż jesteś oficerem wojska narodowego i do tego szlachcicem litewskim.

— Otóżto sęk z tem szlachectwem, kiedy ja nawet nie wiem, z której strony Wisły Litwa leży? A nuż się spytają o familję, a człowiek ani me, ani be.

— Oj Antku, Antku, nie myślałem, że z ciebie takie dziecko, widać, że w organizacji nie miałeś do czynienia ze studentami, nie otrzaskałeś się też z nauką, ależ musisz pamiętać ową demonstrację w Horodle, toć tam przecie o Litwę chodziło, więc gdzie Horodło tam Litwa, a jest także gdzieś na Litwie rzeka Niemen, co Moskale na niej most zebrale. Więcej ci o Litwie nie potrzeba, a jak cię spytają o krewnych, to powiedz, że rodzice odumarli cię dzieckiem i zostałeś wzięty do korpusu kadetów i nic o nich nie wiesz. Zresztą, czy ty myślisz, że szlachta taka mądra, toć wiesz ilu do nas przychodziło do gołarni, a czy który kiedy mówił ci o nauce.

— Wszystko to dobre, ale nuż nas kto pozna?

— Ktoby tak daleko od granicy przyjeżdżał, trzeba się w czepku rodzić, aby aż tu dotąd się dostać, zresztą choćby się wydały fałszywe nazwiska, to i cóż, wszyscy sławni ludzie przybierają inne nazwiska, nam się tak podobało i kwita, a wara od oficerów, bo na to mamy patent z Tarnowa.

— Ha, może masz rację, zresztą tyś zawsze był mędrszy odemnie, zgadzam się z twoją wolą, ale przy-

znam ci się, że wolałbym tam za Wisłą słyszeć świst kul moskiewskich, niż na woskowanej posadzce spotkać się z temi paniami. Ślisko tam ślisko mój Pawełku!

— To też trzeba było sobie przyprawić łyżwy, zobaczysz jak ja na moich hrabiowskich pojedę; przecież choćbym i największe głupstwo zrobił, nie odważą się powiedzieć: że hrabia Firlej bałwanem. Ale przy tej rozmowie ubieramy się Bóg wie jak, a tu trzeba się i nad tem dobrze zastanowić. Wstawaj Antku i atutujmy!

Pawełek zajął się zaraz starannem uczesaniem swych włosów i użył wszystkich tajnych sposobów, jakie sztuka mu nastreczyła do podniesienia swych wdzięków, któremi i tak natura dość hojnie go obdarzyła. Skończyszysy swą toaletę, obejrzał następnie Antka, zrobił mu kilka stósownych uwag, co do węzła krawatu i sposobu ułożenia sznurów dołmana i z całym spokojem i przyjemnością, wziął się do zastawionego tymczasem przez Jana śniadania.

Zastawienie tego śniadania nadarzyło sposobną chwilę dla Fruzi, do ostatecznego dotarcia w głąb obozu nieprzyjacielskiego. Zapomniane niby bowiem przez Jana garnuszki ze śmietanką szybko zabrała i weszła z niemi do pokoju powstańców.

— Dzień dobry panom, ten Jan zawsze czegoś zapomni, byłby panów bez śmietanki zostawił — i poświdrowała oknem po obu gościach i zadowolona z przeglądu, zawróciła się i poszła wprost do pańien.

— Widziałam, widziałam proszę pań, — ładne chłopcy, nie ma co mówić, a postrojone jak lalki, oj będzie tu zaraz więcej życia we dworze, jak tylko

eokolwiek się zapoznają, bo jakoś strasznie nieśmiało patrzą.

Henryka i Jadzia sypnęły teraz pytania: a czy brunet czy blondyn, wysoki czy niski, z wąsami bez wąsów, i tym podobne paszportowe pytania, których urzędnicy policyjni i kobiety, nigdy nie zaniedbują. Przepraszam, piękne czy niepiękne czytelniczki, za zestawianie z policją, ale przyznacie mi panie, że wszystkie macie wrodzony talent do tego fachu.

Podczas tych indagacji Pawełek spełniając do końca rolę mentora względem swego towarzysza, rozwijał mu po kolei wszystkie prawidła przyzwoitego zachowania się w salonie, które wprost były utworem jego wyobraźni, niemniej przeto obudzały podziwienie Antka, który zachodził w głowę, z kąd kolega do tyłu doszedł wiadomości.

— Ty chyba na prawdę byłeś hrabią, nim zostałeś cyrulikiem, odezwał się nakoniec:

— Wszystko to być może, z westchnieniem odpowiedział Pawełek, ale to jest moja tajemnica, tajemnica bardzo ważna.

Możeby i tę tajemnicę Antek był usłyszał, ale powracający od gospodarstwa p. Szymbork, wszedł właśnie do pokoju gości.

— Dzień dobry panom Dobrodziejom moim, a czy dobrze się spało po wczorajszej hulance. U mnie tak po szlachecku chudopacholsku.

— Dziękujemy panu Dobrodziejowi, dziękujemy, spaliśmy wybornie, a po obozowych niewygodach zdaje nam się, żeśmy się do rajy dostali, odpowiedział Pawełek.

— Kiedy tak, to pójdźcie panowie na dół, przedstawię was moim Ewom, bo to ciekawe istoty

i jeżeli nie zejdziecie, gotowe szturmem wziąć wasz pokój!

— Poddalibyśmy się bez szturm, zaintonował ze śmiechem Pawełek, wychodząc z Szymborkiem z pokoju, za nimi niewymownie wzruszony nieśmiało postępował Antek.

W saloniku już wszystko było w szyk bojowy ustawione, panny siedziały jeszcze przy fortepianie, ale tylko przeglądały nuty raz po raz patrząc na drzwi wchodowe, ciocia zaś haftowała na kanapie, Zuzia nawet krzątała się przypadkiem, szukając czego nie zgubiła, a może i zgubiła już nieboga. Biedneż te Zuzie.

P. Szymbork uroczyście wprowadził i zaprezentował powstańców z wszystkimi tytułami dalekiej i bliskiej przeszłości, i ciocia z powołania swego zaczęła rozmowę:

— Panowie pewnie bardzo tęsknicie za waszą Litwą, bo jak powiadają wszyscy, Litwini raj widzą w swej ojczyźnie.

— Bo też proszę pani Dobrodziejki, jest to raj rzeczywisty, jest tam łąka i mąka i ryby i grzyby, wielkie rzeki jak Niemen, wielkie lasy pełne zwierza, a pamiątek historycznych bez liku, ot np. Horodło, i zatrzymał się ostrożnie Pawełek, bo pamiątki historyczne Litwy, zaczynały się i kończyły u niego na Horodle; nie mógł się jednak wstrzymać od popisania się z swemi wiadomościami ale jakby silny wybuch uczucia przytłumił inne wspomnienia, westchnął i dodał: ach Litwa nasza, to więcéj jak raj i dla tego za nią tęsknimy.

— Ale to nie pięknie, odezwała się Jadwiga, jeżeli panowie u nas ciągle za Litwą tęsknić będziecie, bo waszym smutkiem i nas zasmucacie.

— Prawda, prawda, dorzucił p. Szymbork, a choć u nas nie Litwa, to przecie Galicja także ma swoje zalety: węgierskie wino np., a mamy i nasze wspomnienia historyczne i również jak dawniej Pawełek zatrzymał się p. Szymbork, rozmyślając zapewne nad wspomnieniami historycznemi Galicji.

-- Nie przeczę, nie przeczę, zaprotestował Pawełek, co kraj to obyczaj, a Galicja kraj bardzo piękny, wino dobre, naród gościnny.

Jakoś to wyrażenie naród, nie bardzo się spodobało p. Szymborkowi, bo on jako szlachcic, nie chciał się zupełnie zespolić z narodem, który w wielu okolicach Polski oznacza to samo, co lud wiejski, lud pospolity, ale trudno było przeczyć wymownemu gościowi, zresztą wyręczyły go w dalszej rozmowie córki, które przyniosły album z fotografjami zaprezentowały je powstańcom i zaczęły wypytywać o rozmaitych wodzów i kolegów z powstania. Tu dopiero otworzyło się dla Pawelka pole. Wszystkich on znał, o wszystkim wiedział, nie były mu tajne plany dyktatora i generałów, przedstawiał nadzwyczaj trafnie zdarzenia obozowe, bitwy, pochody. Czasem w żywszem opowiadaniu, wymknął mu się jaki wyraz gminny lub mniej dobrze brzmiące przekleństwo, ale policzono to na karb życia obozowego, wrażenie ogólne jednak było dobre tak, że wszyscy nie wyjmując cioci, zajęli się opowiadaniem Pawelka i przy obiedzie już hr. Firlej był bohaterem, którego zdrowie spełniał p. Szymbork pełnym puharem węgryzna. Tymczasem biedny Antek po tysiąc razy przeglądał album i le-

dwo na zapytania panien monosyllabami odpowiadał, nie śmiał nawet w oczy im spojrzeć. Czekał też tylko sposobnej chwili, żeby się wymknąć, a ponieważ po obiedzie pogoda zawitała, wyszedł z pokoju, zacisnął czapkę i pobiegł do ogrodu odetchnąć nieco i pomarzyć o czarnych oczach Zuzi, które mu dobrze utkwiły w pamięci.

Zuzia dziwnym trafem także znalazła się w ogrodzie, śmiało poszła naprzeciw naszego powstańca i zapytała go z uśmiechem:

— Czy pan już o te czasy gruszek upatruje w naszym sadzie?

— Figlarka z pani, ja sobie wyszedłem odetchnąć świeżem powietrzem, bo tam strasznie duszno w pokojach.

Wyraz pani, odbił się bardzo znać przyjemnie w uszach Zuzi, bo uśmiechnęła się, pokraśniała i już więcej pana insurgenta nie myślała prześladować swemi uwagami, owszem przyjazne bardzo dawała mu rady: że jeszcze zinnno na dworze, że może zasłabnąć i t. p. Antoś także ośmielony sam zaczął żartować z dziewczęciami; po tem pierwszym spotkaniu Zuzia jakoś posmutniała, a Antoś widocznie był weselszym.

Tymczasem w salonie Pawełek coraz bardziej się aklimatyzował, palił komplementa pannom, choć nie zawsze dobrze pomyślane, ale śmiało i z dobrą miną, cicię sobie przyswoił niekłamana swą pobożnością, opowiadając jak przed każdą bitwą gorąco się modlił, ile nosi skaplerzy i krzyżyków i t. p., wogóle zajął tak korzystną pozycję w Zegockiej Woli, że na tym gruncie mógł już nie tylko hiszpańskie zamki ale całą swoją przyszłość budować.

To też zszedłszy dość późno wieczorem do swego pokoju, tak się rozwodził przed swym towarzyszem: Widzisz mój Antku, że mi wszystko idzie jak z płatka, posiedziemy tu jakiś czas, a gdy się dobrze namyśle, czy panna Jadwiga czy Henryka dla mnie stósowniejszą, oświadcę się po prostu o pannę i kwita. Dadzą to dobrze, nie dadzą, drugie dobrze; ale zaw-sze ubawimy się po uszy. Cóż ty na to?

— Bóg jeden wie, co tobie po głowie się roi, ale kiedyś tak dobrze zaczął to może i dalej rzecz poprowadzisz. Mnie te twoje panny wcale nie w głowie, jest jednak bardzo miłe stworzenie kubek w kubek Fruzia z Bednarskiej, do téj się wezmę, — to rozumiem.

— Rób jak chcesz, choć to mnie trochę będzie kompromitować, że mój towarzysz tak nisko spada, ale cóż robić, kiedy sobie głowę Zuzią nabieś, pamiętaj jednak trzymać język za zębami i ani na chwilę nie zapominać, że ja jestem hrabią Firlejem, a ty Boćwinowiczem z Litwy.

— Co do tego punktu bądź spokojny, toć tutaj i o moją skórę chodzi.

W ten sposób zawarłszy pacta conventa przyszłego postępowania, udali się nasi bohaterowie na spoczynek, a każdy z nich przez sen te same miłe roił obrazy.

W pokoju panienek także była narada, w której miała udział Zuzia, powierniczka i minister spraw wewnętrznych i zewnętrznych panińskiego królestwa.

— Już to co do układności, to młodszy Litwin daleko mi się lepić podobał, tanten coś na zawadzką wygląda.

— A ja ci powiadam moja Zuziu, odezwała się Jadwiga, że mi się w życiu nie zdarzyło widzieć tak przyjemnego chłopca, chyba ten żuaw na fotografii.

— Wielka sztuka, że pani nie widziała przyjemniejszego, kiedy nikt nie bywa, prócz kilku starych wygów i pana Kalasantego, co zawsze trzy po trzy plecie, a mnie nie ma za boskie stworzenie.

— Zosia ma rację, dodała Henryka, żeśmy bardzo mało dotąd chłopców widziały, ale i mnie się zdaje, że p. Firlej bardzo przyzwoity młody człowiek.

— Co to przyzwoity! z uniesieniem zawołała Jadwiga, przystojny, waleczny, śmiały, grzeczny; ma wszystkie przymioty.

Henryka z lekka westchnęła.

— Panna Jadwiga coś bardzo zagustowała w panu Firleju.

Jadwiga zapłonila się i odpowiedziała z oburzeniem:

— Zagustowała — czy nie zagustowała, to pytanie, z którego nie potrzebuję nikomu zdawać rachunku, ale sprawiedliwość przede wszystkim.

— A ja ciągle panienkom moim powtarzać będę, że ten młodszy o wiele lepszy od p. Firleja.

Podczas tej rozmowy Zuzia pomagała panienkom do zrobienia nocnej toalety, a ponieważ nie wypada nam dalej asystować przy niej, dla tego opuszczamy paniński pokój, ze wszystkimi jego tajemnicami.

Nie będziemy kreślić całego procesu aklimatyzacji naszych Warszawiaków w Żegockiej Woli bo to zanadto przedłużyłoby naszą powiastkę. Wystarczy powiedzieć, że po dwutygodniowym pobycie Pawelek wkradł się zupełnie do serduszka, albo raczej do

główki panny Jadwigi, a i Henryka, dawniej wesoly trzpiotek, coś melancholicznie patrzyła i często wzdychała ku wielkiemu podziwieniu Zuzi, która bardzo często, mimo pory dość nieprzyjaznej, wychodziła do ogrodu i przypadkiem spotykała tam zawsze Antosia, który zawsze równie nieśmiały w salonie, w ogrodzie podobno cudów męstwa dokazywał, tak przynajmniej inni domownicy mówili.

Tymczasem wojenna wrzawa na chwilę nieszczęsnem przejściem granicy przytłumiona, zaczęła znów wzrastać, tworzone nowe oddziały w Galicji i około pierwszego maja ze wszech stron ciągnęły te oddziały do Królestwa. Oddział Jeziorańskiego miał wkroczyć w Lubelskie i mnóstwo powstańców różnemi traktami dążyło na miejsce przeznaczenia.

Nie pominięto także Zegockiej Woli, choć leżała na ustroniu, kilkakrotnie ku wielkiemu strapieniu Pawelka, przejezdni powstańcy tamże się zatrzymywali.

Szczęściem nasi powstańcy ani jednego znajomego nie spotkali, zresztą przezornie niby dla ostrożności oddalali się z pokojów gościnnych, skoro tylko pojazd zwiastował nowych gości i z jakiego ukrycia śledzili nowo przybyłych, a przekonawszy się dopiero, że im zupełnie nieznani, wychodzili z nory i przyłączali się do reszty towarzystwa. Nie obyło się bez tego, że przejeżdżający przycinali siedzącym wygodnie na kwaterze, ależ łatwo się było od tych przycinków zasłonić i świadomy wykrętów Pawelek, dowiedziawszy się od pierwszych przyjezdnych co się święci, przed następnymi udawał oficera z oddziału generała Jordana, który jak wiadomo wiecznie się

organizował, zachowując się na czasy interwencji. Nie można było zatem Pawłowi nic zarzucić, że posłuszny wyższemu rozkazom, siedzi za piecem i smali cholewki.

Antkowi jednak znudziły się przycinki kolegów i ciągle udawanie, odezwało się w nim uczucie obowiązku i oczekiwał tylko chwili sposobnej do opuszczenia Zegockiej Woli i swego towarzysza. Jednego wieczora przy końcu kwietnia, więcej jak zwykle, bo aż pięciu zjechało się powstańców, a zjawił się także pan Kalasanty z kilku starymi sąsiadami. W saloniku nam znajomym ruch więc był wielki, nowi przybysze rozprawiali o przeszłych i przyszłych bojach, a najwyraźniej i najdobitniej rezonował kapitan Dołęga, zwracając swą mowę do gospodarza p. Szymborka.

— My, Mocium panie, nie paniczki, co to wieszają się u sztabu Jordana, ale żołnierze, co nie chcą Polski wyszachrować, ale wybić ją na Moskalu, jak Bóg przykazał; broń do ataku i naprzód marsz, póki Moskwa nie ustąpi; my nie pytamy, kto tam w rządzie, ale kto dobrze dowodzi i za tym pójdziemy Mocium panie, a jak wytrzepiemy skórę Moskalowi, to już i z panem rządem damy sobie radę; chcesz się bić to dobrze, nie, to łomot na ziemię!

To rezonowanie popierał p. Dołęga tak wymownemi gestami, że p. Szymbork był co chwila zmuszony cofać się przed ich natarczywością tak, iż wkońcu dostali się razem do kąta gdzie był fortepian, Pawełek i panny.

Niepohamowany Dołęga, spostrzegłszy dokąd go jego zapal doprowadził, zajął w tej chwili zdobytą

pozycję i wykierował swe pociski wprost na biednego Pawelka.

— Wstydzilibyś się Mocium panie oficerze siedzieć tutaj, kiedy inni ciągną do boju, wasze rozkazy to tere fere kuku; najlepszy rozkaz, karabin na plecy i marsz Mocium panie!

Tak przydybany Pawełek zapłonął się i zmięszął, ale języka nie zapomniał.

— Panie kapitanie zapominasz, że pierwszą powinnością żołnierza jest słuchać swych przełożonych.

— Daj go katu takiego przełożonego Mocium panie, kto bije ten zuch; kto czeka na zmiłowanie Boże, czy na jakichś tam Szwabów, to telórz Mocium panie, jeżeli nie co gorszego.

Pawełek już miał wybuchnąć, bo jużci na posądzenie o telórzostwo, odezwała się w nim krew polska, krew mazurska, co to pono nie jest atramentem, ale p. Szymbork zapobiegł zręcznie klótni, mięszając się do rozmowy.

— Miarkuj się panie kapitanie i nie ubliżaj moim gościom, bo i oni przecie za kraj się bili i bić będą, a przecież rozkazu słuchać potrzeba, bo jakieżby był porządek. I Jadwiga dorzuciła swoje słówko, drżąc na samą myśl rozstania.

— A zresztą pan Paweł jest dotąd słaby, trudy obozowe nadwątlily jego zdrowie, pozwólcie mu przynajmniej przyjść do siebie.

Na słowa Jadwigi, kapitan Dołęga zrobił nagły zwrot na obcasach i oddalił się zaszepiony w drugą stronę pokoju, gdzie gwarzyli jego podkomendni z Antkiem.

— A to Mocium panie Sodoma i Gomora w tej Galilei; młodzieży ani rusz do obozu, każdy trzyma

się spódnicy, wszystko pod babską komendą — i komitety i komisarze i żołnierze; a niech was...

Święta prawda panie kapitanie. wtrącił p. Kalasanty, który radby ze swęj strony wszystką młodzież do obozu wypędzić, a mianowicie też chciałby Pawelka widzieć za dziesiątą granicą, bo psuł mu wszelkie plany względem Jadwigi.

Kapitan spojrział na Kalasantego, skrzywił się, że aż p. Kalasanty zawrócił i wycofnał się na przódce, Dołęga zaś dorzucił:

— Ot wstyd człowiekowi, Mocium panie, że tylko takie błazny przyznają mu rację. Chłopey pójdźmy lepiej na cygaro do siebie i pogadajmy.

Po wyjściu kapitana i jego towarzyszy, Pawelek aż odetchnął i wzruszając ramionami, odezwał się:

— Tacy oficerowie nie robią honoru wojsku narodowemu.

Na tę jednak uwagę nikt potakująco nie odpowiedział, jakaś chmura zawisła nad towarzystwem, bo prawda ma to do siebie, że uderza wprost na sumienie ludzkie i wszelkie wysiłki przytłumienia jej głosu są bezskuteczne. Nawet Jadwiga, jakkolwiek zakochana w Pawle, nie mogła przytłumić tego głosu, który jej szeptał, że prawdziwy bohater, o jakim marzyła, nie zatrzymałby się dla jej pięknych oczu na drodze obowiązku, że krew braci spada po części na tych, co gnuśnymi są świadkami boju, zamiast współudziałem przeważyc jego szalę. Jadwiga zamysliła się nad tem i jakkolwiek zwyciężyła miłość, jednak listek z laurowej korony, którą jej wyobraźnia ozdabiała Pawelka, spadł zwiędły na ziemię; pierwszy listek, pierwszy powiew wiatru, pierwsze zwątpienie, a po nim drugi tak łatwo zerwać i rzucić.

Dopiero przy herbacie zasępienie rozbudziło się towarzystwo, kapitan opowiadał wypadki bojowe, anegdoty — i tak jak przed tem zasmucił, tak teraz wszystkich rozweselił.

Nawet rozweselony p. Kalasanty, zdobył się na krok stanowczy, a dobrze rumem zaprawiwszy herbatę przysposabiał się do przystąpienia do rozmowy z Jadwigą. Podchmieliwszy sobie niezgorzėj, zaraz po kolacji przyczepił się do krzesła panny Jadwigi i tysiącne androny zaczął jēj prawić, zauważył jednak w końcu, że panna Jadwiga wcale go nie słuchała, że była owszem zatopiona w opowiadaniu kapitana, głosem więc rozdzierającym, rozpacznym, zawołał jēj nad samym uchem:

— Pani jesteś jak skała w morzu!

— Czy taka o którą się bałwany rozbijają, sucho zapytała panna Jadwiga, a pan Kalasanty był jeszcze tyle naiwnym, że dodał:

— Czy to do mnie pani zastosowała?

— Do pana, tym samym tonem odpowiedziała Jadwiga, a śmiech ogólny towarzystwa zahuczał w pokoju!

— Panie Kalasanty, odezwał się kapitan, po takich oświadczeniach, chyba w obozie możesz zagoić zadaną ci ranę i radzę ci Mocium panie po przyjacielsku walaj na konia — i ze mną.

— I z pewnością zrobiłbym to panie kapitanie, gdybym ważniejszych nie miał do załatwienia interesów; pan nie wiesz co na mojej głowie.

— Tyle wiem, że już bardzo mało włosów Mocium panie i wartoby łysinę pokryć kołpakiem.

I znów śmiech zawtorował kapitanowi, a p. Kalasanty kręcił się jak na szpilkach.

— Wolne żarty panie kapitanie, ale interesa narodowe, które i teraz naglą mnie do natychmiastowego odjazdu, spać mi nie dają.

— Więc dobranoc panu, odezwał się kapitan, ale Szymbork interwenjował i tyle prosił łaskawego sąsiada, iż ten interesa krajowe na później odłożył. Proszono panie o śpiewy i reszta wieczora przeszła bardzo wesoło. Północ rozdzieliła towarzystwo.

Nazajutrz rankiem powstańcy wybrali się w dalszą podróż, a towarzyszył im mimo wszelkich przedstawień Pawełka, mimo błagań Zuzi, Antek Boćwinowicz udający się pod komendę Dołęgi. Biedny chłopiec i on lzy miał w oczach, żegnając się z Zegocką Wolą, bo Zuzia tak mu przypomniwała Fruzię z Bednarskiej, a z nią razem Warszawę i cały szereg wspomnień młodzieńczych, szczęśliwych, ale szedł, bo głos polskiego sumienia zakolał, a on usłuchał go z pokorą.

Kapitan widząc jego smutek, starał się go pocieszyć w swój sposób:

— Zostaw tam tego wiercipiętę hrabicza, to nie dla ciebie przyjaciel; tyś zuch, on tchórz; a jeżeli cię tam która z tych panienek złowiła, toć świat szeroki, a żołnierz polski wszędzie znajdzie kochankę, oczy w lewo, Mocium panie marsz. I pojechali klusem.

Przeszła wojenna wrzawa i dwór w Zegockiej Woli znów osamotniał, a w części posmutniał, bo Zuzia chodziła zapłakana i smutna a i panna Henryka teraz na dobre zatęskniła za Antosiem, który w jej oczach raptem przerosł Firleja o całą głowę. Jadwiga i Pawełek byli spokojni i szczęśliwi tem

pierwszem upojeniem, które daje miłość, a które niestety tak krótkie i przelotne. Stosunek ich był już wszystkim znany tak w Żegockiej Woli jak w okolicy, czekano tylko na chwilę oświadczyn, która wkrótce po opowiedzianych nastąpiła wypadkach. Nie będę opisywał tej całej sceny między dwoma kochankami, którzy dokładnie wiedzą o tem, że się kochają, a jednak kochanek musi przechodzić przez dreszcze i westchnienia do pół zwierzeń i wyznań, a nareszcie po rycersku na kolanach prosić o wzajemność, która już dawno nieproszenie się znalazła. Kochanka musi się rumienić, odwracać, na pół zezwalać i nie zezwalać; aż nareszcie wszystko zapieczętuje się najczęściej czułym pocałunkiem, choćby — rączki, którą niby od niechcienia zostawia się w rękę kochanego. Przez to wszystko przechodzili Pawełek i Jadwiga i przyrzekli sobie wiecznie się kochać, wiecznie, jakżeż to długo! A jednak w tej chwili oboje szczerze myśleli, że cała wieczność nie wystarczy dla ich miłości. Po tej czulej scenie trzeba było się zebrać na odwagę i prosić urzędownie p. Szymborka i cioci o rękę córki i siostrzenicy. Pawełek trzy długie dni zabierał się do tego kroku, aż nareszcie zebrawszy całą odwagę, ułożył stosowną przemowę i poszedł do salonu, a choć przez drogę przemowy zapomniał, jednak powiodło mu się najzupełniej; otrzymał pozwolenie i ojca i cioci. P. Szymbork nie mógł działać inaczej, on który marzył, jak wyżej mówiliśmy choćby o jakim neoficie, baronie galicyjskim, nie mógł odmówić ręki swęj córki hrabiczowi z Litwy, a do tego kapitanowi wojska narodowego, który to tytuł w chwili patryjotycznego wylewu uczuć p. Szymbork porównywał z jakimś orderem niby złotego

runa, potęgującym przyrodnie hrabiostwo. Cioci pytano się więcej dla formy, a zresztą ciocia nie także nie miała przeciw Pawelkowi.

Nawa Pawelka widocznie zawijała do portu, ładowna słodkimi daktyłami przyszłego małżeńskiego pożycia, ale daktył tyle do figi podobny!

Odbyto sute zaręczyny w Zegoockiej Woli, zjechało się sąsiedztwo — i jak zwykle w podobnych okolicznościach, mężczyźni powracali do domu z bólem głowy; kobiety ze sporym ładunkiem nowinek i ploteczek, ku pożytkowi powiatowego targu zamiany myśli. Było to w czerwcu, noc prześliczna, księżyc gapił się na ziemię całą pyzată twarzą, a kumoszki gwiazdy mrugały filuternie patrząc na głupowatego swego pułkowodzę, ziemia wzdychała jakimś głuchym szumem, słowem była noc podobna do wielu swych rówienniczek, tylokrotnie opisanych prozą i rymem; jeżeli czytelnik ciekawy, niech poszuka sobie w którejkolwiek z naszych powieści, podobnej nocy, a znajdzie ją lepszą jak u mnie, bo słabym pędzłem trudno odmalować wdzięki matki przyrody. Zostawiam zatem twórczej wyobraźni czytelnika dopełnienie obrazu nocy, a sam poszukam na trakcie rzeszowskim po mału wlokącej się bryczki, na której kilku ludzi nie podziwia pięknej nocy, ale sennemi głowami, to w tę to w ową stronę, stosownie do poruszeń woza się kłania. I woźnica jak zwykle zapomniał o swym obowiązku i poszedł za przykładem swych panów, tylko biedne koniska dają z siebie przykład wytrwałości i powoli ale bezustannie kłapią po żwirówce. I byliby może nasi podróżni tak całą noc przespali na wozie, gdyby ta podróż odbywała się w Wielkopolsce, ale w Galicji, a do tego w okolicy

Strzyżowa, nie trzeba było zanadto zaufać szczęśliwej gwiazdzie.

Wózek wjechał na wysokie wzgórze, z którego dokładnie rozróżnić było można bielejące w dolinie domy Strzyżowa i staczając się z góry w przyspieszonym biegu, zaczął popychać przed sobą konie po zwirowce. Coraz prędzej, coraz szybciej toczył się wóz w dolinę, podróżni obudzili się, stuknąwszy głowami o siebie, i z przestachem spostrzegli swe położenie, ale już było za późno, wóz był nad brzegiem dość głębokiego parowu, konie wstrzymać go nie mogły i w najbliższej chwili stoczył się do parowu.

Jezus, Marja! zakrzyknęli podróżni, jeden z nich zdołał jeszcze w chwili przewrotu wyskoczyć na zwirowkę, reszta potoczyła się z wozem.

W pierwszej chwili zdawało się, że ludzie i konie zgruchoczą się w upadku, ale głosy odzywające się z dołu dowiodły, że żyją przynajmniej. Słaby wóz zdruzgotał się w samym wywrocie, i tym sposobem ocalił podróżnych, którzy rozrzucony daleko potłukli się niezgorzej, jeden tylko z nich był mniej szczęśliwym i w tym upadku złamał nogę.

— A to, mociumpanie, niedbalstwo woźnicy, odezwał się z parowu piorunujący głos, należący, jak się czytelnik po przysłowiu domyślił, do znanego nam kapitana; z łaski tego hultaja moglibyśmy tu wszyscy kości połamać. A ten biedny Stefan, cóż ci stało, że tak jęczysz, ot wstań lepiej i na lewo w tył marsz!

Ale Stefan ani się ruszył.

— Łatwo ci komenderować, kapitanie, ale ja wszystkie kości mam połamane.

— No, no, nie takie kruche, mociumpanie, mieliśmy tego dowody, wstawaj chłopcze, i ująwszy w pas

swego towarzysza, chciał go na równe nogi postawić, ale jęki i bezwładność Stefana, przekonały go wkrótce, że musiał zwiechnąć nogę w upadku.

— Przekłęcie! to ty widzę na dobre inwalidem zostaniesz, i to do tego w czasie, kiedy my wszyscy z świeżą otuchą rzucamy się do boju. Coż ci jest?

— Powiedziałem ci już kapitanie, że cały jestem potłuczony i zmięty.

— Żeby to przynajmniej mieć wóz pod ręką, bo nasz już na nie się nie zda, Mocium panie! Hej poczciwy Antku, jeżeli masz zdrowe kości, pobiegnij do Strzyżowa i wystaraj się o furmankę.

— Dobrze, kapitanie, odpowiedział znany nam już poprzednio Antoni vulgo Boćwinowicz, i szybkim krokiem podążył do miasteczka.

— Ale mój Stefanie, djabelne głupstwo zrobiłeś łamiąc nogę, tyś mi tak potrzebny jak oko w głowie, nasza misja przez to się opóźni, a chciałbym jak najprędzej wrócić do obozu, bo tu mi wstyd siedzieć. Trzeba ci zresztą śpiesznej pomocy i troskliwej opieki.

— Zostaw mnie kapitanie mojemu losowi, ja już sobie dam radę, a Antek tymczasem mnie zastąpi.

— Dasz sobie radę Mocium panie, a jakim sposobem? Ot najlepiej zboczymy cokolwiek do pana Szymborka, to poczciwy człowiek, a jego córki wezmą cię w opiekę, zresztą chciałbym ztamtąd wykurzyć tego Firleja, którego poczciwy Antek wydał ze sekretu. Teraz mi się nie wymówi, marsz do obozu!

— Rób jak chcesz kapitanie, byleby sprawa na tem nie cierpiała!

— A za kogoż ty mnie masz Mocium panie, ja ani dla ciebie, ani dla nikogo w świecie, mego obo-

wiązku nie zaniedbam, ale wiem przecież co robię i basta.

Trzeci podróżny zbierał tymczasem z woźnicą rozrzucone pakunki towarzyszy, wkrótce ukazał się i Antek z wozem i całe towarzystwo udało się w stronę żegockiego dworu, wlokąc się powoli, bo każde mocniejsze poruszenie wozu, przysparzało biednemu Stefanowi nowych boleści; zajękali rankiem na dziedziniec żegocki. P. Szymbork wybiegł ich witać i z nieudaną radością poznał w gościach dawniejszych znajomych. Stefana przeniesiono na wygodne łoże i natychmiast posłano po lekarza.

Mieszkańcy dworu budzić się zaczęli. Antek wpadł do pokoju Pawelka i przerwał błogie marzenia dawnego kolegi szerokim całusem. Pawełek zdziwione otworzył oczy i dość zimno zapytał się:

— Co ty tu robisz?

— Przyjechałem cię zabrać do obozu!

— Czyś ty oszalał, ty chyba nic nie wiesz, że ja się żenię z panną Jadwigą, że już jesteśmy po zaręczynach; mnie do obozu, a po co?

— Więc na prawdę tak długo prowadziłeś tę komedję. Wstydz się Pawelku, wszystko się wyda, i cóż zrobisz wtedy?

— Jakto! wyda, chyba że ty im powiedziałeś, i zerwał się Pawełek równemi nogami, i takie złowrogie spojrzenie rzucił swemu koledze, że ten mimowoli się zmieszał, odpowiedział jednakże:

— Choćbym ja zamilczał, to tu jest z nami dwóch takich, co cię znają dokładnie: pan Stefan i Kuźma z Warszawy!

— Co mówisz? oni tutaj, o ja nieszczęśliwy! Cóż pocznę, radź kochany Antku, przecież zawsze byłem twoim przyjacielem, ratuj mnie!

— Kiedyż bo ja sam nie wiem jak tu poradzić; ale słyszę kapitana, to pocziwa dusza, on ci poradzi, i nie pytając już Antka, wypadł do sieni i wciągnął kapitana do pokoju!

— Kapitan na widok Firleja zachmurzył się, już mu bowiem Szymbork opowiedział o zaręczynach i przyszłym ślubie.

— A tuś mi hrabiezu! Czemuż to, mociumpanie, starych znajomych na ślub nie zapraszasz, czemuż to kapitanie wojska narodowego za piecem siedzisz, i zamiast bić się z wrogiem, jak się przysięgą zobowiązałeś, stroisz koperczaki? Hrabio-kapitanie, jesteś oszust! i nikt mi nie zabroni napiętnować cię publicznie!

Tak powitany Pawełek stracił do reszty fantazję i rzucił się do nóg Dołędze.

— Przebacz kapitanie, ja młody, niedoświadczony, podobały mi się błyskotki, pokochałem się zresztą na prawdę; jestem winny, bardzo winny, ale krwią swoją zmyję tę winę, tylko mnie nie kompromitujcie, nie wydajcie!

Antek także prosić zaczął za towarzyszem, tak, że stary kapitan, który miał dobre serce, udobruchał się powoli.

— Jeżeli, Mocium panie, tak śpiewasz, to co innego; ale ostrzegam cię, żadnych wywijasów, bo ze mną żartować nie można. Całą sprawę na siebie biorę, wytłumaczę cię rozkazem i pana narzeczonego wezmę do obozu i kwita. Długo się nie namysławaj, za-

bierz się, bo dziś jeszcze jedziemy. Pójdź Antku, lekarz przyjechał do Stefana.

Wyszli, zostawiając biednego Pawełka w rozpaczynie większej, że to całe zmartwienie jak piorun z pogodnego nieba na niego runęło.

W duchu jednak przyznał się do winy, przypomniał sobie ową uroczystą chwilę dobrowolnej przysięgi, że walczyć będzie obok braci swych za wolność i niepodległość; przypomniał pierwsze chwile powstania, owe trudy i niebezpieczeństwa, na które się przez czas krótki narażał, a które dzisiaj zostawił innym dla wygodnego życia, dla uśmiechu kochanki; ujrzał się tak poniżonym, tak nędznym w swych własnych oczach, że myśl zasłużenia sobie czynem na szacunek własny i ludzki, zdawała mu się coraz ponętniejszą, aż w końcu prawie wesoło zaczął się ubierać w dawniejsze ubranie powstańcze, które już zarzucił od kilku miesięcy. Kłamstwo zresztą, którem się dotąd zasłaniał, tak mu się wydało obrzydliwym, że sam postanowił przed odjazdem wykryć całą prawdę. Ubrawszy się szybko, zszedł na wspólne śniadanie do salonu, gdzie już zgromadzone zastał towarzystwo. Błady był i widocznie wzruszony, tak, że cała rodzina, widząc prócz tego na nim ubranie powstańcze, prawie razem zapytała:

— Co panu?

— Mnie nic, wyjeżdżam do obozu, gdzie mnie obowiązek woła.

— To za dotkliwe żarty, zawołała ciocia, widząc jakie wrażenie te słowa zrobiły na Jadwidze.

— Nie żarty, pani dobrodziejko, dość już było żartów. Gdybym tylko tyle miał państwu do powiedzenia, byłbym szczęśliwy. Ale stoję tu jako wino-

wajca, jako człowiek, który podszył się pod cudze nazwisko, z początku przez cześć fanfaronadę, następnie w zbrodniczym zamiarze oszukania. Nie wystarczał mi tytuł żołnierza wolności, nie wystarczały zasługi na polu bitwy, ja dziecko bruku warszawskiego, golarz z profesji, powstydzilem się mego urodzenia, mego zatrudnienia i ustroiłem się w cudze pióra. Dziś zasłona spadła mi z oczu, ujrzałem jasno całą nikczemność tego kroku, i dla tego opuszczam Zegocką Wolę, aby krwią zmyć plamę, która mnie dziś pali, jak ogień. Ciężko zawiniłem przeciw państwu, ciężiej przeciw tobie, panno Jadwigo! najciężej przeciw ojczyźnie, której bronić przysiągłem. Przebaczcie mi, przebacz mi pani, że zamącił jej życie, pani jeszcze szczęśliwą być możesz, dla mnie już nie ma nadziei!

— Jest! jest! Mocium panie! walny z ciebie chłopiec, Pawelku, teraz możesz liczyć na moją przyjaźń, a jeśli na polu bitwy się popiszesz, to furda o tytuły — nadzieja powróci, czy nie prawda, panie Szymbork!

— Tak, tak; ale, bo, kapitanie!

— Co tam to wszystko; ale, ot najlepiej spytaj się pan panny Jadwigi, która tam razem z siostrą szłocha! Czy pani zechcesz okrytego sławą żołnierza powracającego z obozu?

Za całą odpowiedź, Jadwiga wstała i podała rękę Pawelkowi. Rozczulony chłopiec, rzucił się przed nią na kolana.

— Pani mi przebaczasz! o jakżem szczęśliwy! Teraz kapitanie należę do ciebie, zobaczysz wkrótce czy golarz warszawski, przyda się na co w obozie!

Nie będę opisywać sceny pożegnalnej, powiem tylko, że w godzinę potem we dworze Żegockim został się tylko ranny Stefan i w smutku pogrążone panie, bo pan Szymbork wyjechał odprowadzić powstańców do granicy. Przy pożegnaniu szepnął on jeszcze cioci:

— Co też o tém sąsiedzi powiedzą? i kiwając głową wsiadł na bryczkę, głęboko zatopiony w roz-biorze tego ważnego pytania.

A teraz razem z Szymborkiem żegnam was moi czytelnicy, pytając się:

Co na to powiecie?

A może wiem, co powiecie?

Najprzód, że nie skończyłem powiastki, nie doprowadziłem ani do ślubu, ani do śmierci.

Ależ i ja jeszcze żyję, a przy czasie mogę moją powieść doprowadzić do końca.

Może powiecie, że za mało akcji, za mało scen dramatycznych?

Ależ to powiastka tylko.

Może nic nie powiecie.

Tem lepiej.

Na każdy przypadek do widzenia.

PROBA KRWI.

Legenda dramatyczna.

OSOBY:

Starosta świata.	Siostry płaczki.
Sędziowie.	Czarnoksiężnik.
Siostra aniołów.	Dwie czarnoksiężnice.
Bracia smutni.	Chór ptaków wędrownych.

SĄDY BOŻE.

Okolica wśród leśnych mogił. Starosta świata i sędziowie siedzą na powalonych dębach przed żalnikiem kamiennym, na którym gałęziami kaliny przykryty leży trup zamordowanej niewiasty. Bracia i siostry otaczają żalnik. Ranek.

BRACIA SMUTNI.

Na wieść śmiertelną zdrętwieliśmy wszyscy,
Ręki po gromy podźwignąć nie możemy.
Krwi się w nas żywej nie dorzwałby nożem,
Tak omartwienia staliśmy się bliscy...
Jak pleśń pożerza w marmur hartem dumny
Weszła w nas boleść... rozściela się, toczy —
Łzy skamieniałe zakryły nam oczy,
Stoimy w smutku jak żalu kolumny.

SIOSTRY PŁACZKI.

Przyszła wieść czarna... kościaną prawicę
 Złożyła na nas z jej śmiertelnym skutkiem.
 Zbladłyśmy nagle jak otrute smutkiem.
 Ścięły się serca na martwe łzawnice.
 Jak wewnętrznych źródeł potok nieustanny,
 Wyszła z nas boleść i płynie bez końca...
 W kroplach łez gwiazdy spadają i słońca,
 Stoimy płaczki jak żalu fontanny.

BRACIA I SIOSTRY.

Na kamiennym żalniku, na tapczanie z kaliny,
 Pod pościelą z gałązek powoju,
 Ziemską siostra aniołów od północnej godziny
 Spi snem jutrzeńki w niebieskim spokoju.
 Biada nam, w strapieniu kryjem lica,
 Ze nie otwiera ócz ta słońca Przodownica!

Na białej cichłej piersi pod lewy bok wklęsnięty
 Wgryzła się sina plamka purpury,
 Jak krwawej róży pączek na poły odemknięty
 Z którego wonność wzbila się w lazury...
 Biada nam, że tego piersi kwiatu
 Złotego słońca promień nie otworzył światu!

Stała się zbrodnia czarna. Szlachetnej Cnoty ciało
 Leży pchnięte zdradzieckiem żelazem.
 Nędzni, jak ci po stracie, którym nic nie zostało,
 Podnosim ręce i wołamy razem —
 Biada nam, niech z prochów nie powstaniem
 Jeśli raz strudzim głos i wołać zaprzestaniem
 Sprawiedliwości!!

STAROSTA (z wyciągniętą ku żalącym się ręką).

Ta wam daną będzie,
 W imieniu Boga któregośmy Rada.
 Na świeckie sprawy zasiedliśmy sędzie.
 Przed tronem naszym stawają gromadą,
 Rozlicznych gwałtów krzywdy rozmaite...
 I te, co padły przed chwilą w zapasie,
 I na dnie wieków, co leżą ukryte.
 A każdej zadość stanie się w swym czasie,
 By nie czerniono Przedwiecznego Pana
 Ze dał swobodę pazurom szatana!
 Ma go na wodzy, owszem nie popuści,
 Póki nie wdepnie do ciemnych czeluści
 Albo nie zbawi — bo zemsty daleki,
 W dobroci wiecznej zdobyć się nie może,
 Aby swój utwór, niegdyś dzieło boże,
 Tak, bez nadziei potępić na wieki.

Na to co widzimy, na to co mówicie,
 Drży deszczem zgrozy dusza sprawiedliwa...
 Siostra aniołów w śnie śmierci spoczywa.
 Jakto! więc Cnocie odebrano życie?
 A jakoż bez niej świat się ten ostoi?
 Poprawę źródło znikło z tą ofiarą.
 Sąd boży siądzie w strasznej grozie swojej
 I sprawiedliwość wymierzy się karą.

Wszelakie świata jestestwo,
 Sądu naszego powagą,
 Powołujem na świadectwo —
 Niechaj zezna prawdę naga,
 Niech mówi, kto winien zbrodni?

CHOR PTAKÓW WĘDROWNYCH,

nad głowami Czarnoksiężników.

Oto tu stoją wyrodni.
 Przez błękity, gdy gromadą
 Wicher nas pomyślny niesie,
 Ujrzeliśmy w Czarnym lesie
 Tę niewiastę piękną, bladą,
 Na stratowanej murawie,
 Pod rozłożystemi drzewy,
 I otwarty bok jej lewy,
 Duże krople krwi na trawie,
 I tych których oskarżamy.
 Nędznicy! jej białe szaty
 Darli wskroś na podłe szmaty
 I z noża ścierali plamy.
 W pośród tej katów swawoli,
 Oczy ofiary gasnące
 Jak dwa powoje więdnące,
 Zamykały się powoli
 Błądząc pod niebios sklepieniem,
 I do strasznej mordy gadki,
 Zawezwały nas na świadki,
 Ostatniem we łzach spojrzeniem.
 Ach, i jakby skrzydła w locie
 Ściał nam nagle piorun jaki,
 Upadliśmy wieszce ptaki
 Nad te głowy w niecnym pocie.
 Jako łono czarnej chmury
 Ciągniem odtąd w ślad zbrodniarzy,
 Przypadamy im do twarzy,
 I wysuwamy pazury --

I z krzykiem krwawej nowiny
 Skrzydłami bijąc czarnemi,
 Wciąż krążyć będziemy nad niemi
 Do sądu pierwszej godziny.

STAROSTA ŚWIATA.

Zbliża się wnet i piorunem uderzy.
 Was z czołem niskiem z twarzą nietoperzy,
 Z okiem wypiekłem od ogni podziemnych —
 Książę i ksienie wszechkunsztów tajemnych,
 Których tu ptaki oskarżają wieszczę,
 O zbrodnię jakiej Bóg nie sądził jeszcze,
 Pytam się słysząc zarzuty ciężarne:
 W czym ręce Wasze obmyjecie czarne?

CARNOKSIEŻNIK I CZARNOKSIEŻNICE.

W obfitych potach niewinnych mozołów.

CZARNOKSIEŻNIK (z mimiką dobrego kuglarza).

Wysoka Rado — przez mgły i przez chmury
 Ptaki niebieskie spoglądają z góry
 Na bieg spraw wielkich wśród niskich padolów —
 Z kąd widzą wszystko w kolorach zbyt szpetnych,
 Bo nie dopatrzą tych sprężyn szlachetnych,
 Co zniewalają ubroczyć swe dłonie,
 Z najlepszą chęcią nawet w siostry łonie.

CZARNOKSIEŻNICE (szlochając jak pomywaczki trupów).

Och, tkliwa boleść ezule serce rani,
 Gdy wspominamy wczesny zgon tej pani.

CZARNOKSIĘŻNIK (jak wyżej).

Była nam Cnota potężną sąsiadą,
 Ale dziwaczką bez świeckich prawideł!
 Niepowstrzymana żadną mądrą radą!
 Ani maxymą żelaznych wędzideł
 Nieokiełznana w wybrykach swęj woli!
 I w gospodarstwie nie miała też statku.
 Czy przy ognisku, czyli to na roli
 Wszystko szło luźnie prosto do upadku.
 Słowem rzecz wzięwszy bez opisów wielkich,
 Taką szaloną była w każdym czynie,
 Tak już za czasem wyszła z korbów wszelkich,
 Że zabiegając ostatniej ruinie,
 Gdy żyć na wzór nasz stała się niezdolną
 Uznaliśmy ją za — bezwłasnowolną....
 I na consilium sąsiedniej opieki,
 Wnet jednocześnie zarządzono leki,
 Bo chorą była na zbyt wielkie serce.

CZARNOKSIĘŻNICA I. (tonem miłosiernego wyrzutu).

Owi w powietrzu skrzydlaci oszczerce
 Niechaj powiedzą: czym nie posyłała
 Z abrakadabram, z hokus pokus świstków?
 Cóż kiedy chora nic nie przyjmowała?

CZARNOKSIĘŻNICA II. (jak wyżej).

Ja z siedmiu mogił nazrywawszy listków,
 Warzyłam ziółka w krwi siedmiu upiorów
 Na wolnym ogniu z szubienicznych wiorów,
 I przez śmiertelne precedzałam chusty...
 Cóż gdy choremi nietknęła ich usta?

CZARNOKSIĘŻNIK (z determinacją świętoszka).

Gdy więc w uporze (czego każdy świadom)
 Nie okazała żadnej powolności
 Aprobowanym receptom i radom —
 Ujrzełszy się w przykrej konieczności,
 Przedsięwziąć środek więcej radykalny,
 By krwi serdecznej nie dopuścić buntu,
 By złą chorobę wykarczować z gruntu.
 Taki to był nasz, zaiste pochwalny
 Zamiar sąsiedzki w on czas rezolutny,
 Gdyśmy zbliżali... ach, lancet okrutny
 Do nagiej piersi — aby krwi upuścić!
 Wtem, lecz któż zdoła, jaki język w stanie
 Zdziwiony żal nasz słowami wyuścić,
 Gdy na nóż z lekka zagłębiony w ranie
 Pierwszych zaledwie kilka kropel skapło,
 Wnet krew żygnęła i serce oklapło.
 Bolesć och była, bolesć nieskończona...
 Patrzyć i widzieć, jak ta krew szalona
 Wytrysła ciurkiem z impetem kaskady
 Wprzód nim trzy westchnąć zdołaliśmy --- biady!!!
 I trzy wznieść ręce, aby ją zażegnać!!!
 Trudno! gdy przyjdzie śmierć palcem odegnąć.
 Widząc więc wszelką pomoc już bez skutku,
 Że chora kona — z rozpaczny sąsiedzkiej
 By okryć nagość niepyłtkiego smutku
 Jak chce mieć nowy piękny zwyczaj świecki —
 Zdarłszy z niej szaty odzialiśmy siebie
 I tak w żałobie płaczem na pogrzebie...
 Umarła Cnota! Niezbadane fata
 Znać ją uznawszy zbytęcną dla świata
 I niepotrzebną, skróciły jej mękę....

Umarła Cnota, ach, wielce pocziwa!
 Ale nie przez nas — (bo jak często bywa
 Kto pomoc niesie śmierć ciągnie za rękę)
 I my mieliśmy intencje najlepsze —
 Tak...

CHÓR PTAKÓW (przerywając).

Tę co mają względem perły wieprze,

STAROSTA ŚWIATA (do Czarnoksiężnika i Czarnoksiężnic)

Zamknijcie wargi i Cnoty zniewagą
 Nie kładźcie nowych grzechów na win ciężkich szalę.

(po chwili)

Prawda karki żywiołów depce stopą nagą
 I kroczy po nich czysta niezgwałcona w chwale!
 I wy więc, jeśli prawdą chodziliście zawdy,
 Jeżeli język z ręką nie splodziły zdrady —
 Przejdźcie przez zbuntowanych żywiołów gromady,
 Niech one będą próbą hartu waszej prawdy.
 Pójdźcie.

CHÓR PTAKÓW (pędząc i prześladując Czarnoksiężników).

Hej! rozstąp się ziemio! Od czasu stworzenia
 Cięższej zbrodni na sobie nie niosłaś brzemienia.
 Więc pęknij lub przepadnij, to brzemie cię zgniecie,
 Trzech Cnoty zabójców pędzimy po świecie.

Hej! zbudźcie się wichry ze wszystkich stron ziemi!
 Hej, wydmijcie z warg burzę piersiami całemi!
 Góry z posad podnieście i pustynń zamiecie —
 Trzech Cnoty zabójców pędzimy po świecie.

Hej, dźwignij się morze za granitów zręby!
 Najeż grzywę bałwanów i z bezdennęj gęby
 Wypluń potop nawalny w swym gniewnym impecie —
 Trzech cnoty zabójców pędzimy po świecie.

Hej, paszcze żygnijcie wy żarem dyszące!
 I płomiennych języków wypuście tysiące,
 I zliźcie z grzbietu ziemi, co ją hańbą gniecie —
 Trzech Cnoty zabójców pędzimy po świecie.

.
 O Prawdo, Matko świata, biada tobie biada!
 Ani ziemia żre łotrów, ni z nimi przepada,
 Ani wichher rozrywa, ni górą przyciska,
 Ani morze chce przyjąć do swego łóżyska,
 Ani ogni podziemnych płomień ich ogarnie,
 I jak ty po żywiołach stąpają bezkarnie —
 O Prawdo, Matko świata, biada tobie, biada!
 Pójdź na skałę wygnania, kędy rozpacz siada
 I zapłacz opuszczona niebieska Ty wdowo..

STAROSTA ŚWIATA (do Ptaków).

Powstrzymajcie rozpaczy karygodne słowo.

Niechaj wprzód winni staną przed siostrą aniołów
 I do rany serdecznej niech palce przyłożą —
 Gdy pod zbrodni ciężarem żywioły się korzą
 Wówczas krew się nań rzuca ostatkiem mozołów,
 Krew niewinna, zaprawdę, najsroższy z żywiołów!
 Świadectwo krwi o prawdzie jest jej hartu chluba,
 A krwi kropla ostatnia jej ostatnią próbą.

(Czarnoksiężnik i Czarnoksiężnice pędzeni przez gromadę ptaków idą z oporem, chwiejącym się krokiem do żalnika a stanawszy w pewnej odległości przed trupem siostry aniołów, wyciągają drżące palce do odkrytej piersi. Za zbliżeniem wytryska kropla krwi na ich ręce, od której porażeni padają martwi).

STAROSTA ŚWIATA

O krwi kropło ostatnia, moc cudu posiadasz!
Tyś piorun sądów Bożych, gdy za prawdę padasz!

X. X.

Warszawa.

Wspomnienie o nim.

. Przyszłość moja!
I moje będzie za grobem zwycięstwo!

J. Słowacki.

I.

Śpiewaku grobów! z twój liry złotój
Dla siebie wziąłem jedną ze strun,
By naśladować wichrów łoskoty
Cucić do życia martwe iloty
Spiących — bez wiary, podnosić z trun.
Natchniony harfiarz szedłeś mi przodem
Tyś polskiej pieśni królem mi był,
Znaczyłeś życie krwawym pochodem,
Boś wiernie umiał cierpieć z narodem,
I jego sercem targać, — by żył!

II.

A twoje pieśni długo milczące
Za chwilę, zdziwią jak wielki cud,
Nad grób twój wzejdą promieniejące,
Lud go przystroi w laury pachnące
I przed posągiem pokłęknie lud.

Drażniłeś rany twojej rodzonej
 Z bólu, — szyderstwem biłeś w jej grób,
 Jak syn miłością wielką szalony
 Ze złotą harfą padłeś natchniony
 Z rozdartem sercem u świętej stóp!

III.

Na Cheronei chcesz się załamać
 Ciszkasz strasznego przekleństwa grom!
 Bo lepiej miecze ostre połamać,
 Niżeli serce i męstwo kłamać.
 A nieklamany nieść wstyd i srom!
 I przeklinając kupczące kramy,
 Syn bólu — niosłeś łzy matce swój,
 A odwaliwszy grobowca łamy,
 Łzy do ran lałeś niby balsamy
 Pieśni o świtach śpiewałeś jej.

IV.

Dziś takiej lutni na mojej ziemi
 Nie ma, co w tonach dorówna ci,
 Ach jeden tylko jeden Jeremi
 Siekł mieczem w struny, — łzami krwawemi
 Płakał na grobach i budził sny,
 A Jeruzalem powolnie kona,
 A lud jej czeka na straszny kres,
 Rychło zagore łuna czerwona
 A przed ołtarzem pęknie zasłona
 W kościołach naszych modlitw i łez!

V.

Ty roznamiętnisz duszę za młodu,
 Dziecko, z Kordjanem wybiega już

Na cmentarz, w ciemne jodły ogrodu
 I tam przysięga żyć dla narodu
 Co się jak kolos zwałił sród burz.
 Albo w ruinach pćsród rozwalin,
 Kiedy w noc jasną o lirach śnię,
 Błada Alina w wianuszkzku z kalin
 Liljowa cała — śród woni malin
 Cichym szelestem budziła mię.

.

VI.

Pieśń ma — jak anioł modlitw, przyklęka,
 I milknie smutno, — braknie już tchu,
 Na strunach lutni omdlewa ręka
 I spocząc rada moja piosenka
 Więc ją kołysać będę do snu.
 A lutnię w której po moim śpiewie
 Ostatnie życie i duch mój drga,
 Nad grób zawieście na starem drzewie,
 W błyskawicowej nocnej ulewie
 Niech po niej wicher szumi i gra!

Neapol, 1864.

Władysław Waga.

Fragment.

.....
Oni pobiegli z wiarą i pochodnią,
Co w ciemność promień rozniosła i blaski,
Za nimi — inni, jako za przewodnią
Gwiazdą śpieszyli. Lud rzucał oklaski
Ale nie zawrzał, — nie zerwał zapory
I nie zawtórzył bohaterom czynem,
Posypał krwawą arenę wawrzynem
I łzami...

Tak nowożytnie padły gladiatorzy!

.....

A ci co stali zdala nawałnicy,
Rzekli: „nie masz ich“ — my dzisiaj sternicy
Pójdźmy na przodzie —
Pójdźmy — z sztandarem naszym na czele
Stańmy w narodzie
Jako mściciele,
Prawi obrońce;
I poszli, — poszli przy sterze
Ale bez wiary!

Zagasło słońce;
 Żywi zostali znów pół-rycerze
 I pół-cezary!

.

O! dawniej chwały płacz Jeruzalemie
 Jako sen piękny minęły dni nasze,
 Straszniemi klęski Pan nawiedził ziemię
 A lud skarłały rozrodził judasze
 Pomiędzy sobą!
 Znikąd nadziei tobie i pociechy,..
 Stoisz wśród ruin zrozpaczon i niemy
 Ciężką żałobą;
 Przechodzeń rzuca ci szydzące śmiechy
 I woła: patrzcie! — co z Jeruzalemy!

.

„Wszystko nam dałeś co dać mogłeś Panie“¹⁾
 W dniach sławy naszej chrobre dałeś męże
 Tchnąłeś w nas wielkie ziemi ukochanie
 A w dłoń hartowne podałeś orężę.
 Sam hetmaniles wiernym ci narodem,
 Szerokie grody nasze, nasze niwy,
 Stały gościna i płynęły miodem!...
 Lud był szczęśliwy!

Dziś w dniach boleści, wśród skonu lub życia,
 W tej chwili świętej marzonej od wieka
 Która nas mogła ocalić z rozbicia,

¹⁾ Wiersz w cudzysłowie jest z „Psalmy“ Z. Krasieńskiego
 wyjęty. (P. A.)

„Wszystko nam dałeś co dać mogłeś Panie
Oprócz człowieka!

.

Nie nasza wola a Twoja się stanie!

Omdlały siły!

Spojrzyj, a oto nasza konająca

Wskazuje czarne krzyże i mogiły,

To jej modlitwa. Z nią idzie klęcząca

Wołać do Ciebie o Panie daj słońca!

I łaski Twoje złej zdrojem na syny,

Za naszych ojców ciężki grzech i winy,

Błagamy Ciebie z pokutniczym żalem

Karz już ostatnich! ostatnich nas, — Panie!

I wzniesie upadłą z prochów Jeruzalem

Miej zmiłowanie!

Kraków, 1864.

Władysław Waga.

Pieśń obozowa.

Naprzód dzieci! polskie dzieci!
Broń na ramię — stój!
Już wiosenne słońko świeci
Zapał silniej się roznieci
I zahuczy bój,
Bój za Polskę, bój!

Polsko nasza, ziemio miła!
Ubożuchna ty!
Całaś krwią się zecerwieniła
A gdzie spojrzeć to mogiła
Na mogile łzy!
Polskich matek łzy!

Na bagnety! polskie syny!
Wszakże nie czas już
Na wojenne paść wawrzyny
Gdy w ojczyźnie moskwiciny
I na gardle nóż
I stryczek i nóż!

Naprzód dzieci! polskie dzieci
 Nagrodzi się trud!
 Niewolnictwo zedrzem z kmieci
 I wolnością się rozświeci
 Polska i jej lud
 Biedny — ciemny lud!

Lud — ten prostak ma swe prawa
 Równy wszystkim jest!
 Raclawicka świadczy sprawa
 Tam naszego chłopca sława
 Tam był jego chrzest
 Na szlachectwo chrzest!

Kto nie idzie kiedy może
 W obozowy świat!
 To już taki — żal się Boże
 Na wojence nie pomoże
 Bo to nie nasz brat!
 Pewno nie nasz brat!

Kto się przed obozem skrywa
 Gdy płomieni czyn!
 Gdy się białe orlą zrywa
 Łono matki wróg rozrywa
 Taki nie jej syn
 Pewno nie jej syn!

Dziś nie mówmy nic nikomu
 Póki gości wróg
 Niech zostanie taki w domu
 Z tchórzem w piersi — z licem sromu

Osądzi go Bóg
I naród i Bóg!

A my sami dalej w pole!
Rzy już wierny koń!
Po ojczystem lećmy sioło
A ty mieczu tnij kąkole
Co zarosły błoń!
Naszą piękną błoń!

Walka nasza niedaremna
Bujny krwawy siew!
Młódź z nad Wisły, młódź z nad Niemna
Płynie niby burza ciemna
Wzbudza w carach gniew
Wzbudza strach i gniew!

„Jeszcze Polska nie zginęła!“
Szabło! wiernie służ!
Młódź zakończy co zaczęła
Więc sztandary rozwinęła
Nowych walk i burz
Nowych walk i burz!

Myśmy rzekli — pierwsze słowo
Przebudzenia w śnie,
Myśmy ciemność tę grobową
Przenieśli w jasność dniową
Stare miasto wie
Stare miasto wie!

Dziś spowili ruch w pieluchy
Ci co lubią gnić,

Choć z dawnego już okruchy
 Ale jeszcze żyją zuchy
 Więc będziemy żyć
 Więc będziemy żyć!

Tylko razem! hej gromadą
 Błysnąć lasem kos!
 Ruszyć chłopka dobrą radą
 I na wroga spaść z zagładą
 I rozstrzygnąć los
 Świętej Polski los!

Kraków na Zamku, 3 stycznia 1864.

Władysław Waga.

SPIS RZECZY.

	str.
1. Kilka uwag nad skutkami ostatniego powstania	5.
2. Wstępna prelekcja do dziejów powstań polskich	27.
3. Na kwaterze. Powiastka	41.
4. Próba krwi. Legenda dramatyczna	75.
5. Wspomnienie o nim	85.
6. Fragment	88.
7. Pieśń obozowa	91.



117 52. 584



BIBLIOTEKA IBL



30.584